MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 54. WARSZAWA, 23 GRUDNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

SZTUCZNE PRZEDZIAŁY

ISTNIEJĄ pewne zjawiska życia społecznego, które mają głębszy podkład przyrodniczy. Zjawisko starzenia się i wzrostu jest faktem naturalnym, jednem z elementarnych zjawisk biologicznych. Zawsze byli młodzi i zawsze byli starzy — że po starych młodzi obejmują dziedzictwo, tego nie potrzeba podkreślać.

Czasami jednak to następstwo pokoleń występuje w bardziej wyraźnej postaci. Nowe pokolenie, które idzie naprzód, ma fizjognomję ostrzej zarysowaną; nie zajmuje miejsca starszych spokojnie i automatycznie, z roku na rok, w sposób, który nie zwraca specjalnej uwagi, lecz na tle wspólności pewnych cech duchowych wyciska swoje piętno na zbiorowem życiu narodu, zdobywa w walce swoje stanowisko. Wystarczy przypomnieć walkę romantyków z klasykami na początku XIX wieku, albo „Młodą Polskę" w najnowszej literaturze.

Czy jednak naprawdę istnieje tu walka młodych ze starymi? Jeżeli zwrócimy uwagę na wiek przedstawicieli nowych idej i kierunków, to niewątpliwie ci, którzy je w życie wnoszą, są młodsi od ludzi, którym się przeciwstawiają. Ale to nie trwa długo. Nowy prąd natrafia na przeciwników i zwolenników wśród wszystkich pokoleń. Przedewszystkiem nie reprezentuje on nigdy całego młodego pokolenia. Nie wszyscy młodzi w początkach XIX wieku byli romantykami, ani też modernistami w niespełna sto lat później. Gorące walki o nowe ideje, które toczyły się wewnątrz młodego pokolenia, nieraz bywały nierozstrzygnięte; a dopiero zwyciężały wówczas, gdy przeniknęły całe życie narodu, gdy wyszły poza dawne swoje ramy. A ideje naprawdę nowe, naprawdę młode (treścią i wartością) potrafią dotrzeć do całego społeczeństwa prędzej, nim ci, którzy je wnieśli, okryją się siwizną.

I istotna walka toczy się zawsze nie między młodymi a starymi, lecz między różnemi poglądami na świat, na życie i przyszłość narodu, między różnemi ideałami społeczno-politycznemi. Okoliczność, że pewne prądy dziejowe znajdują szczególnie żywe echo wśród młodszego pokolenia, jest bardzo doniosłym faktem socjologicznym; ten fakt wróży dobrze przyszłości tych kierunków. Ale nie wynika z tego, że „młodość" jest zasadą polityczną, że wspólność wieku wytwarza automatycznie pewną wspólność programową.

Należy przedewszystkiem traktować z ostrożnością takie uogólnienia, jak „wspólność duchowa młodego pokolenia", lub „psychika młodych" i t.d. Trzeba się najpierw porozumieć co do terminu „młodość"; staje się on nazbyt rozciągliwy. Łatwo jest wyodrębnić pokolenie, które swoją młodość przeżyło w niewoli, a w chwili wybuchu wielkiej wojny miało już zarysowaną fizjognomję duchową. Ludzie ci dzisiaj są starzy, lub rychło nimi będą. Ale czy niema głębokich różnic między pokoleniem, które dorastało w wielkiej wojnie i które brało udział w wojnie polskiej, a tymi, którzy epokę wojny pamiętają z wczesnego tylko dzieciństwa? Przeżycia te nie pozostają bez głębokich śladów. Życie pędzi dzisiaj szalonym pędem naprzód, możnaby nawet powiedzieć, że pokolenia trwają krócej wobec ciągłych zmian w świecie. Uważny obserwator musi stwierdzić różnicę w nastrojach i stosunku do życia młodego pokolenia, które wkraczało w życie z dużym optymizmem w dobie pozornie pomyślnej konjunktury, a tymi, którzy dzisiaj kończą studja i widzą przed sobą bardzo ciężką drogę życia.

Niewątpliwie, przekrój społeczno - polityczny młodego pokolenia jest inny, aniżeli pokoleń starszych. Inaczej np. młodzi uregulowali swój stosunek do żydów, niż przywykli do tego ludzie starsi. Istnieją różnice ideałów politycznych, nie wspominając już o tak naturalnej różnicy temperamentów, sił życiowych i t. d.

Dzisiejsze młode pokolenie jest w ogromnej swojej większości nastrojone narodowo. Niemniej jednak w tem pokoleniu znajdują ostry oddźwięk najrozmaitsze prądy, przenikające społeczeństwo; a także uwydatniają się w niem różne typy charakteru.

Jest faktem, że np. komunizm nawet i wśród polskiej młodzieży znajduje sporo zwolenników. Nie wszyscy z pośród młodego pokolenia, którzy zaznaczają swoją twórczość w literaturze, wyznają te same ideały narodowe; spora garść różnych młodych literatów i publicystów jest zasymilowana przez żydów i dla nich pracuje. Każdy ze starszych ma pełne uznanie dla ofiarności młodego pokolenia w walce o ideały narodowe, dla jego zapału, rozumie jego szlachetną niecierpliwość; ale zdarzają się i w niem jednostki, które potrafią się kierować bardzo poziomym oportunizmem, nie czekając nawet owych czterdziestu lat, kiedy według rosyjskiego określenia z rewolucjonisty robi się ś...... I dlatego też wyrażenie: „jedność młodego pokolenia" trzeba brać *cum grano salis*.

Niewątpliwie, społeczeństwo dzieli się na młodych i starych; możnaby jeszcze odróżnić i średnie pokolenie, a i między „młodymi" wprowadzić dalsze podziały. Ale ten podział nie może być podstawą orjentacji politycznej, podobną do dawnego podziału na klasy społeczne, z których jedne, jak np. dla socjalistów robotnicy fabryczni, a dla chłopomanów chłopi, miały być wcieleniem wszelkich cnót i wyłączną podstawą przyszłości. Takiego podziału, jako zasadniczego, nie uznawał nigdy kierunek narodowy. Bo przecież dla niego jedno pokolenie nie jest narodem i życie polityczne narodu dla niego nie zaczyna się od dzisiaj, czy od jutra.

Naród pod względem moralno-politycznym nie dzieli się ani na klasy społeczne, ani na klasy wieku, czy „roczniki", lecz podstawą różnic politycznych są poglądy na istotne zagadnienia bytu narodu: stosunek do religji, do tradycji, do żywiołów obcych w państwie, do różnych sił międzynarodowych, rozbijających jedność duchową i polityczną narodu. W ujmowaniu konkretnych zagadnień chwili mogą być różnice między pokoleniami, które wyrosły w odmiennej atmosferze. Gdyby nowe pokolenia nie wnosiły własnych pierwiastków, gdyby nie były żywsze od starszych, nie miały rozpędu życiowego, życie narodu ulegałoby skorstnieniu i martwocie. Ale prawdziwa walka, która się toczy, to walka o państwo narodowe, o niezależność duchową i gospodarczą narodu, o jego potęgę w naprawdę własnem jego państwie. Każdy musi stanąć po jednej lub drugiej stronie. Wszystkie inne przedziały są sztuczne lub drugorzędne.

ROMAN RYBARSKI

PRAWORZĄDNOŚĆ W NIEMCZECH DZISIEJSZYCH

W OSTATNIM numerze czasopisma „*Archiv des offentlichen Rechts*" znajduje się artykuł d-ra Lothara Schöne p. t. „*Richter und Rechtspflege im neuen Staat*", wyrażający poglądy socjalizmu narodowego na prawo i jego stosowanie w życiu przez sądy.

Państwo narodowo-socjalistyczne — pisze — jest państwem praworządnem. Niema ono jednak nic wspólnego z liberalnem państwem praworządnem, ale jest państwem, opartem na autorytecie, będącym formą bytowania politycznie zjednoczonego narodu. Przeciwieństwo między narodem a państwem należy do przeszłości. Naród zaś, będący punktem centralnym państwa, jest wspólnotą ludzi, związanych wspólnotą krwi. Aczkolwiek naród niemiecki nie jest narodem rasowo jednolitym, to jednak dominującym czynnikiem, będącym źródłem poglądów na świat i ustroju państwowego, jest rasa nordycka. Światopogląd narodowo-socjalistyczny jest właśnie światopoglądem rasy nordyckiej. Chce on mieć decydujący i wyłączny wpływ na państwo, by zachować polityczną jedność narodu. Z tego punktu widzenia pragnie on rozpatrywać prawo i jego stosunek do państwa.

Kiedy mówi o prawie, chce on rozróżniać ideję prawa od prawa pozytywnego. Idea prawa jest postulatem moralnym, wynikającym z rasowego światopoglądu narodu. Według światopoglądu niemieckiego, źródłem prawa jest sumienie narodu jako wspólnoty prawnej, celem zaś jego jest utrzymanie narodu. Prawo traktuje człowieka, jako część całości. Tylko ten, kto spełnia obowiązki wobec innych, może żądać praw dla siebie. Prawo i obowiązek są w koncepcji hitleryzmu ściśle między sobą związane. Najwyższe prawa posiada społeczeństwo, ale nawet jego kierownicy winni szanować prawo. Nawet państwo musi przestrzegać prawa, gdyż siła państwa — to nie dowolność, ale uregulowana wola, przyczem regulatorem musi tu być idea prawa, sprawiedliwość, sumienie państwa. Państwo, stojące na tem stanowisku, jest państwem praworządnem. Do powyższych wywodów autora nawiasowo trzeba dodać, że takie pojęcie prawa i państwa praworządnego nie jest czemś specjalnie niemieckiem, ale ogólnie — europejskiem, mającem swe źródło w rzymskich i katolickich podstawach naszej cywilizacji europejskiej.

Realizowanie idei prawa następuje w formie prawa pozytywnego. Może ono przybierać bądź formę prawa zwyczajowego, bądź formę prawa stanowionego, które dziś, ze względu na skomplikowane stosunki społeczne, musi przeważać. Wyłącznem źródłem prawa pozytywnego jest państwo. Ono też ma obowiązek czuwać nad jego przestrzeganiem, ograniczając do *minimum* samoobronę jednostek.

Powstaje pytanie, jaki organ państwowy ma prawo pozytywne stanowić. Ponieważ stanowienie prawa jest specjalnie ważną decyzją polityczną, stanowienie prawa należeć powinno do naczelnego organu politycznego. Oddawanie tej funkcji innemu organowi zagraża jedności politycznej państwa. Poszczególne przepisy prawne, wchodzące w skład prawa pozytywnego, powinny tworzyć harmonijną całość, wśród nich zaś powinna istnieć hierarchja.

Prawo pozytywne jest stosowane w życiu przez to, że każdy w działalności swej je przestrzega. Jeśli sprawę w ten sposób rozumieć, to stosowaniem prawa zajmują się nietylko urzędy państwowe. W wypadku naruszenia prawa lub sporu o prawo, zachodzi potrzeba stwierdzenia, co w danym wypadku jest prawem, t. zn. następuje wymiar sprawiedliwości, który narówni z wy-

dawaniem ustaw jest podstawową funkcją państwa. Ustawodawstwo ma na celu przystosować ideję prado potrzeb politycznej konieczności. Wymiar sprawiedliwości jest związany pozytywnym prawem. Przy wykładni pozytywnego prawa nie jest decydującą wola ustawodawcy, ale stosunek konkretnego przepisu do całokształtu norm prawa pozytywnego i poczucie prawne społeczeństwa.

Liberalne państwo praworządne udziela swojej ochrony prawnej we wszelkich wypadkach, gdy jednostka uważa, że prawo zostało naruszone. Jest to niesłuszne. Ochrona prawna powinna być przyznana tylko wtedy, gdy wchodzi w grę interes ogólny. Decyduje o tem ustawodawca.

Wymiar sprawiedliwości jest, obok rządzenia i wydawania ustaw, jedną z trzech głównych funkcyj państwa. Wspólną cechą ich wszystkich jest to, że są one wykonywane bezpośrednio w imieniu Narodu.

Przeciwieństwem tych funkcyj państwowych są inne, objęte ogólną nazwą administracji, wykonywane przez pośrednie organy państwowe, podlegające kierownictwu i nadzorowi ze strony rządu. Państwo liberalne opierało się na ścisłym podziale władz, mającym zapewniać prawa jednostek. Dziś jednak zdajemy sobie sprawę, że jednolitość kierownictwa politycznego wymaga zespolenia w jednem ręku funkcyj rządzenia i stanowienia prawa. Specjalna rola wymiaru sprawiedliwości, który, związany normami prawa pozytywnego, nie posiada decyzji politycznej, wymaga jego zupełnej niezależności od innych władz.

Ze specjalnego stanowiska wymiaru sprawiedliwości wynika również specjalne stanowisko sędziego, jako organu wymiaru sprawiedliwości. W monarchji absolutnej wymiar sprawiedliwości dokonywany był przez urzędników królewskich, całkowicie od króla zależnych. W monarchji konstytucyjnej urzędnicy ci pozornie mieli być niezależnymi, ale jedynie w zakresie wymiaru sprawiedliwości. Pozatem pozostawali normalnymi urzędnikami. W tych warunkach trudno było mówić o prawdziwej niezależności. Powstanie republiki dawało możność stworzenia sądów samodzielnych. Liberalizm jednak, obawiający się, w imię wolności jednostki, całkowicie niezależnych sądów, przyczynił się do tego, że sędziowie pozostali nadal urzędnikami.

Rolą wymiaru sprawiedliwości w nowem państwie jest bezstronne i konsekwentne stosowanie obowiązującego prawa, w myśl poglądów, wyrażonych w samem prawie, oraz wynikających z całokształtu ustawodawstwa pozytywnego i poczucia prawnego społeczeństwa. Celem wymiaru sprawiedliwości jest zapewnienie bezpieczeństwa i pokoju prawnego. Zapewnienie pokoju prawnego leży przedewszystkiem w interesie społeczeństwa. Pewność prawna polega przedewszystkiem na tem, by wyroki sądowe jasno rozstrzygały sprawę, mogły być zgóry do przewidzenia, a wymiar sprawiedliwości był jednolity.

Jednolitość wymiaru sprawiedliwości polega przedewszystkiem na jednolitej wykładni ustawy. Tę jednolitą wykładnię może zapewnić ustalenie wiążącej wykładni przez sąd najwyższy.

Sędzia winien być związany obowiązującem prawem pozytywnem. W dzisiejszej dobie nie jest to jednak najsilniejsze związanie sędziego, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę coraz częściej spotykane w prawie klauzule generalne. Najsilniejszem związaniem jest związanie z własnym narodem, ze światem jego pojęć prawnych. Dlatego sędziami mogą być tylko członkowie narodu. Goering wyraził tę prawdę następującemi słowami: „Realizowanie prawa w życiu Narodu następuje nie przez paragrafy i litery, ale jak wszystko, co się dzieje w Narodzie, przez ludzi. Do tego trzeba takich sędziów, których myśli i czyny miałyby swe korzenie w organicznym związku krwi z całością Narodu i których działanie byłoby zwrócone w jednym kierunku, w kierunku dobra całego Narodu" [1]). Problem związania sędziego przez prawo jest w ścisłym związku z problemem badania ważności ustaw przez sędziego. Nie może on, oczywiście, badać zgodności prawa pozytywnego z poczuciem prawnem społeczeństwa. Może jednak i powinien badać, czy przepis prawny został wydany przez kompetentną władzę i w przepisanej formie, czy ogłoszenie przepisu było należyte, wreszcie, czy przepis nie jest sprzeczny z obowiązującym przepisem, hierarchicznie wyższym.

Niezależność sędziowska nie jest takiem samem, osobistem prawem sędziego, jak np. jego prawo do poborów. Mamy tu do czynienia z udzieleniem prawdziwej swobody w ściśle określonym celu. Tym celem jest znalezienie prawidłowej decyzji, by w ten sposób zapewnić należyty wymiar sprawiedliwości. Niezależność sędziowska jest zasadą prawną, z której płyną poszczególne prawa i obowiązki. Jest ona istotną cechą sprawiedliwości. Ustawodawca może tylko ustalić zasadę niezależności i stworzyć niektóre z jej warunków. Istotna niezależność musi tkwić w osobie samego sędziego, jako istotna część składowa jego wysokiego urzędu, udzielonego mu w imieniu i dla dobra Narodu. Istotną jest nie zewnętrzna, ale wewnętrzna niezależność, nabywana ciągłą pracą nad sobą, a utrzymywana głębokiem poczuciem odpowiedzialności.

Z zasady niezależności sędziowskiej, która opiera się przedewszystkiem na niezależności wewnętrznej, wynikają pewne konsekwencje, jeśli chodzi o zewnętrzne stanowisko sędziego. Naczelną zasadą będzie zakaz ingerencji do wymiaru sprawiedliwości innych organów, niż organy do tego specjalnie przeznaczone. Przez organy wymiaru sprawiedliwości należy, oczywiście, rozumieć wyłącznie sędziów, a nie urzędników administracji sądowej. Sędzia jest politycznie nieodpowiedzialny. Jest on jednak odpowiedzialny za przestrzeganie prawa. Organami orzekającemi mogą być tylko organy ustanowione i składające się wyłącznie z niezależnych sędziów. Sędziowie bowiem nie są urzędnikami i nie podlegają wogóle zasadom prawa urzędniczego. Są oni bezpośrednim organem narodu, zajmującym się wymiarem sprawiedliwości. Nie mają więc sędziowie władz przełożonych, w szczególności nie jest ich władzą przełożoną minister sprawiedliwości. Z drugiej strony sędziowie nie mogą otrzymywać korzyści i awansów. Dążenie bowiem do otrzymania awansu czyni z nich urzędników, przestających być niezależnymi sędziami.

J. PRUS

---

[1]) Charles Maurras, redaktor polityczny „*Action Française*", przypomniał niedawno historję pewnej rozprawy sądowej, w której występował jako oskarżony. Rzecz działa się w r. 1913:

„Kiedy przewodniczący kompletu sądzącego, żyd Worms zwrócił się do mnie z jakiemś zapytaniem, odmówiłem składania zeznań, oświadczając: Jestem Francuzem i mam prawo żądać, by sądził mnie sędzia francuski".

SZTADLAN

(PRZYCZYNEK DO STOSUNKÓW POLSKO-ŻYDOWSKICH W DAWNEJ POLSCE)

SPOŁECZEŃSTWA chrześcijańskie są naogół bardzo mało zaznajomione z ustrojem wewnętrznym żydów. Nieliczni tylko aryjczycy zdają sobie mniej więcej sprawę z tego, jak on jest zorganizowany, jakie posiada instytucje i jakie są jego dzieje. Tymczasem znajomość tego jest konieczna dla wszystkich, którzy pragną zrozumieć kwestję żydowską w jej całokształcie. Nie może być mowy o zwalczeniu tak silnego wroga, jakim jest żydostwo, bez dostatecznej znajomości jego organizacji, bez gruntownego poznania jego instytucyj narodowych, które, sięgając swą genezą w głęboką starożytność, podlegały stałemu udoskonalaniu się i przystosowaniu do wymogów czasu i dzięki którym naród żydowski zachował swą jedność i nie zaginął w ciągu wielowiekowego swego rozproszenia. Nasza nieświadomość tych spraw rozciąga się nietylko na czasy współczesne, lecz także dotyczy dawnych. Nie posiadamy dotychczas wyczerpującego i odpowiedzialnego dzieła na ten temat, napisanego przez Polaka. Nie istnieje nawet historja, opracowana z polskiego punktu widzenia, żydów polskich. A są to rzeczy interesujące! Teraźniejsza siła żydostwa, jego znaczenie i wpływ, jaki wywiera (czego jesteśmy codziennie świadkami i czemu nikt nie może zaprzeczyć) na naszą obecną rzeczywistość, mają swe korzenie nie w czasach rozbiorów, lecz w czasach znacznie odleglejszych, w czasach Wazów, Jagiellonów i Piastów. W przedrozbiorowej Polsce narodziła się potęga żydów, dzięki niezwykle sprzyjającym warunkom i mądrej ich polityce; z tych czasów pochodzi ta straszna spuścizna, której uprzątnięcie jest zadaniem pokolenia polskiego, wchodzącego obecnie w życie. Bez znajomości atoli historji żydowskiej i bez znajomości ich ustroju wewnętrznego nigdy nie rozwiąże się tego zagadnienia i nigdy nie zrozumie się należycie, w jaki sposób wrzód żydowski mógł do tego stopnia rozwinąć się w Polsce i dlaczego jego rozwój nie spotykał większej, niż była, reakcji. Co więcej! Bez dokładnej znajomości tych zagadnień nie wyświetlimy nigdy dostatecznie przebiegu naszych własnych dziejów; nie potrafimy określić i wskazać wszystkich tych czynników, które przyczyniły się do tragedji rozbiorów; nie będziemy mieli odpowiedniej siły i wiedzy do rozwiązania najważniejszych problematów niepodległej Polski.

Różne są powody tej dotychczasowej ignorancji. Nasi historycy bądź nie zdawali sobie sprawy z ważności tych zagadnień, bądź też wskutek nieznajomości hebrajskiego i żargonu, nie mogli korzystać ze źródeł żydowskich. Najważniejszą bodaj przyczyną jest zupełna prawie niedostępność archiwów żydowskich dla gojów. Żydzi zazdrośnie strzegą swych tajemnic, i to tylko o ich wewnętrznych sprawach można wiedzieć, co sami raczą obcym wypowiedzieć lub z czego niechcący się wygadają. Dlatego też skazani jesteśmy przy prowadzeniu badań judaistycznych niemal wyłącznie na łaskę autorów żydowskich. Na szczęście jednak ci uczeni ogłosili cały szereg dzieł, stojących nieraz na wysokim poziomie, z których można, aczkolwiek z trudem, zorjentować się w interesujących nas zagadnieniach. Informacje te, zestawione z wiadomościami, przekazanemi przez historyków i badaczy aryjskich, rzucają niejednokrotnie zupełnie inne światło na różne wypadki dziejowe i zmuszają nas do poddania rewizji, zdawałoby się, raz na zawsze ustalonych, pewników historycznych.

Wiadomości, dotyczące ustroju wewnętrznego żydostwa w dawnej Polsce, można znaleźć, oprócz wielkich kompedjów, poświęconych historji żydowskiej (Graetz, Nusbaum, Dubnow i inne), także w specjalnych monografjach. Na pierwszy plan wybijają się tutaj dwie rozprawy p. dr. Mojżesza Schorra, obecnie głównego rabina Wielkiej Synagogi w Warszawie i profesora tytularnego semitologji na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego[1]). Rozprawa niemiecka, będąca powtórzeniem z małemi zmianami pewnego wykładu, mianego przez tego autora w Wiedniu, w czasach wojny wszechświatowej, na zaproszenie Komitetu do spraw żydów wschodnich, jest krótsza, ale za to bardziej zwarta i może ciekawsza od polskiej. Jej treść objęła położenie prawne żydów w przedrozbiorowej Polsce, wewnętrzny ustrój gminy jednostkowej (Kahału), związki jej z zagadnieniami gospodarczemi, finansowemi, administracyjnemi; jej sądownictwo wewnętrzne oraz jej działalność filantropijną i wychowawczą. Oprócz tego znaleźć tam można szereg informacyj o ustroju centralnym żydów w Polsce, po pierwsze dotyczących funkcjonowania do mniej więcej połowy XVI stulecia t. zw. „Generalnego Senjoratu", a powtóre odnośnie centralnego zarządu żydów z lat 1582 — 1764, znanego pod nazwą hebrajską: „*Waâd' arbù arâcôth*", pod polską: „Sejm czterech ziem", a pod łacińską: „*Congressus generalis judaicus*".

Z treści tej niemieckiej rozprawy odnosi się wrażenie, że jej wydawcom chodziło zapewne o poinformowanie w latach 1917 — 18 Niemców i Austrjaków o tem, jakie przywileje posiadali żydzi w dawnej Polsce i wytłumaczenie im, że żydzi muszą znów uzyskać na ziemiach wschodnich, okupowanych podówczas przez państwa centralne, przynajmniej takie same.

Oprócz studjów p. M. Schorra, przynoszących niezwykle cenny materjał, istnieje cały szereg prac innych historyków żydowskich (Bałaban, Dubnow, Lewin, Schipper), dotyczących tych zagadnień. Poznanie ich i zestawienie pozwala względnie nieźle zorjentować się w formach organizacyjnych żydów w przedrozbiorowej Polsce.

W skromnych ramach niniejszej pracy nie mamy wcale zamiaru omówić całości tego zagadnienia. Chcemy tylko oświetlić tutaj rolę, jaką odgrywała w Polsce, specyficznie żydowska, instytucja „sztadlanów". Czynimy to w tym celu,

---

[1]) a) Mojżesz Schorr: „Organizacja Żydów w Polsce". Odbitka z „Kwartalnika historycznego", t. XIII, Lwów, 1899, str. 95. (Tłumaczenie rosyjskie tego artykułu ukazało się w miesięczniku „*Woschod*", Peterburg, 1900).

b) Mojżesz Schorr: „*Rechtsstellung und innere Verfassung der Juden in Polen*". *Ein geschichtlicher Rundblick.* Odbitka z czasopisa „*Der Jude*", t. II, Wiedeń, Löwit-Verlag, 1917, str. 36.

aby zaznajomić czytelnika polskiego, który przeważnie zupełnie nie orjentuje się w tych sprawach, z zadaniami i obowiązkami pewnej kategorji żydów w przedrozbiorowej Polsce. Uważamy, iż będzie to rzeczą pożyteczną, a zarazem posłuży do potwierdzenia wywodów, umieszczonych na początku pracy. Chcąc uniknąć jakichkolwiek błędów i niedociągnięć, będziemy ją opierali w dalszym ciągu na źródłach, pochodzenia wyłącznie żydowskiego. Wszystkie, występujące niżej, twierdzenia będą uzasadnione zapomocą cytat, zaczerpniętych z autorów żydowskich.

Dla należytego zorjentowania się w kwestji „sztadlanów" należy zdać sobie sprawę w głównych zarysach z tego, jaki był ustrój żydów w Polsce. Szeroka autonomja, jaką żydzi posiadali w Polsce (i jakiej nie mieli nigdzie) wyraziła się ostatecznie w formach ustrojowych, uznanych przez państwo polskie, a które powstały za czasów ostatnich Jagiellonów i Batorego. Od najdawniejszych czasów podstawową komórką organizacyjną żydów był Kahał. Z czasem powstała nadbudowa: t. zw. „ziemstwa", składające się z delegatów kahalnych danej okolicy. Wszystkie ziemstwa, po przejściowym okresie t. zw. „Senjoratu Generalnego", zostały połączone nakoniec w centralnej instytucji Sejmu żydów koronnych i litewskich, który w r. 1623 rozpadł się na dwa oddzielne sejmy: Sejm czterech ziem *(Waad arba arawt)*, obejmujący żydów korony (Wielkopolski, Małopolski, Rusi Czerwonej i Wołynia) i Sejm żydów litewskich *(Waad hakehilot ha-raschijot bimdinat Litua*[2]*)*. Te sejmy żydowskie, zbierające się w określonych odstępach czasu, a mające przytem stałą Egzekutywę i wyłaniające z siebie Najwyższy Trybunał, rozstrzygający w ostatniej instancji wszystkie sprawy wśród żydów, cieszyły się niezwykłą w żydostwie powagą. Znany kronikarz Natan Hannower z Zasławia[3]) pisze w swej kronice z roku 1653:

„Posiedzenia Waadu równają się zebraniom Synhedrjonu w hali świątyni w Jerozolimie. Jego kompetencja obejmuje żydostwo całego królestwa Polski, on posiada moc wydawania wiążących, prawnych przepisów i karania ich przekroczenia".

Widzimy z tego cytatu, czem była dla żydów ta instytucja[4]); jej znaczeniu wśród nich odpowiadała w zupełności rola, jaką *Waad* odgrywał w Rzeczypospolitej. Była to do roku 1764 urzędowo uznana przez królów i sejmy polskie oficjalna reprezentacja wszystkich żydów, ona pertraktowała z rządem o wysokość podatków, płaconych przez nich, ona zabiegała o nowe przywileje i ulgi. Rola sejmów żydowskich skończyła się w r. 1764, społeczeństwo polskie miało tego dość i przeforsowało na Sejmie Walnym ustawę, likwidującą samorząd żydowski i rozwiązującą zarówno Sejm czterech ziem, jak i Sejm żydów litewskich. Oficjalne uchwały zjazdów gmin żydowskich były zapisywane w specjalnych księgach protokułów, przechowywanych w gminach, a zwanych pinaksami. Nie wszystkie pinaksy zachowały się. Część istniejących została wydana przez historyków żydowskich. Zachowały się w całości protokuły Sejmu żydów litewskich, które ogłosił S. M. Dubnow[5]). Z uchwał zawartych w pinaksach i z wiadomości, podanych w rozprawach p. p. M. Schorra i Izaaka Lewina[6]), można sobie jasno zdać sprawę z tego, kim byli „sztadlani" i jakie ich były zadania.

(Dok. nast.) F. K.

---

[2]) Dr. Jakób Schall: „Historja żydów w Polsce, na Litwie i Rusi", Lwów, 1934, str. 320 + VIII. Nakładem wydawnictwa „Polska Niepodległa". Zobacz: str. 151 — 163.

Spis literatury na ten temat przytacza Majer Bałaban: „Przegląd literatury, dotyczącej żydowskich gmin wyznaniowych w Polsce", Łódź, str. 8 (bez roku wydania i firmy nakładowej).

[3]) Natan Hannower z Zasławia: *„Jewejn Mecula"* („Bagno głębokie"). Jest to kronika, dotycząca losów żydów w czasach buntu Chmielnickiego. Ukazała się po hebrajsku w r. 1653 w Wenecji, w żargonie w r. 1725 w Amsterdamie, po polsku w tłumaczeniu M. Bałabana we Lwowie w 1914 roku.

[4]) Schall: *op. cit.*, str. 160, wspomina nawiasem iż ilość członków Egzekutywy (23) przypominała ilość członków małego Synhedrjonu, ilość zaś członków pełnego Waadu (70) — wielkiego.

[5]) S. M. Dubnow: *„Pinkas ha-medina o pinkas waad hakehiloth ha-raszijoth bimdinat Litua"* („Protokuły sejmów żydowskich na Litwie 1623 — 1723"), Berlin, 1925, po hebrajsku.

[6]) Izaak Lewin: „Udział żydów w wyborach sejmowych w dawnej Polsce". Miesięcznik żydowski. Rok II, zeszyt I. Styczeń, 1932, str. 46 — 65.

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZEMIANY SPOŁECZNEJ: VII

GALICJA

JUŻ SAMO rozważenie czynników, korzystnie kształtujących ewolucję społeczną Poznańskiego, wskazuje pośrednio na naturę niedoborów Galicji, a tem samem poniekąd i ich przyczyny, — nie pokaże ono jednak nigdy największej z nich, o której zresztą w tych artykułach, mówiąc o rozbiorach, już napomknąłem.

Jest nią odłączenie od Rzeczypospoiltej w samem zaraniu nowej epoki, nim ona jeszcze zdołała swe piętno na duszy narodowej wycisnąć, nim ugruntowała się na dobre i na dobre do reform zabrała. Więc gdy inne dzielnice Polski kwitły po stanisławowsku, rozwijały przemysł, debatowały na sejmach i uczyły się w szkołach Komisji Edukacyjnej — Galicja pozostała krajem „Nowych Aten", sarmackich czubów, pieniactwa, pijatyk i awantur. Ona przeżywała nadal czasy saskie, a nawet gorsze niż saskie, bo jakieś cesarsko-lodomeryjskie, nieświadome żadnych ideałów, oportunistyczne, próżne i bezduszne. Żyło się w niej na uboczu, jak w zaklętym, deskami zabitym od świata partykularzu, bezmyślnie, beztrosko, ale bezpiecznie,— i na tę niegdyś przodującą w naszej kulturze prowincję zeszła straszna noc i ciemność, co ją na długo na szary koniec odsunęła. A stwierdzając to wszystko natykamy się na drugą przyczynę jej niezdrowia: austrjacko-habsburskie panowanie.

Odmiennie bowiem całkiem pojmowały swoje rządy w krajach polskich Austrja i Prusy. Gdy rządy Prus, choć nieprzychylne narodowości i za-

żarte na polskość, niosły z sobą postęp ekonomiczny i wiew Zachodu, pozwalając narodowi róść gospodarczo, a nawet kulturalnie — to rządy austrjackie nie dawały żadnych środków po temu i życie narodowe w Galicji mogło tylko stanąć w miejscu lub się cofać, a związek z Wiedniem mniej wciągał w orbitę Zachodu, niż dawny z Warszawą. Gdy więc tam można było kończyć stanisławowską pracę, to tu zgoła nie można było jej zacząć; gdy, mimo wszystkie przeszkody — w Poznańskiem, czy na Pomorzu się żyło, w Galicji się tylko wegetowało. Ta ogromna różnica obu niemieckich panowań nie wypływa bynajmniej z jakichś zasadniczych zalet pruskich, czy wad austrjackich, nie żadna dobroć jednych, a lichość drugich ją wywołały, ale poprostu te państwa były całkiem inne, inny ich charakter i inny stosunek do polskich krajów.

Prusy, — państwo jednolite i drobne, trawione gorączką podbojów i chęcią mocniejszego scementowania swoich rozrzuconych posiadłości, nabyły kraj sąsiedni, niezbędny (w ich mniemaniu) dla ich rozwoju i geograficznie niczem od ich dawnych prowincyj się nie różniący; włączyły go więc energicznie w tryb życia ogólno - państwowego i skwapliwie starały się upodobnić go do swoich starych ziem, wśród których te nowe leżały. Zabiegały o rozwój tych krajów, o ich mocny związek z Berlinem, Królewcem, Wrocławiem, bo to wszystko zacierało ich odrębność i pomagało robić z Wielkopolski i Mazowsza rozmaite Prusy — Południowe, czy Nowo-wschodnie.

Wręcz inaczej Austrja; stare, z natury różnojęzyczne i niejednolite państwo, o ustalonej pozycji mocarstwowej — wzięło w rozbiorach jakby mimochodem kraj daleki, obcy i nie bardzo monarchji potrzebny, nic też dziwnego, że rządzić nim zaczęło inaczej.

Gdy rząd pruski, chcąc prusaczyć, z konieczności niósł z sobą zmianę i stawiał Polaków w nowych warunkach bytu, to rząd austrjacki, wręcz odwrotnie, zostawiał raczej wszystko po staremu, zmieniając to tylko, co się z nową formą rządów wyraźnie pogodzić nie dało i co trzeba było zmienić, a i to jeszcze zmieniano wolno i z namysłem. Gdy Prusy skwapliwie zacierały wszelki ślad odrębności nabytego kraju, Austrja, nie pielęgnując bynajmniej polskości, odrębność nowych prowincyj prawnie uświęciła, tworząc z zabranych nam województw oddzielne w swojej rzeszy królestwo, bo nie miała poprostu tego obszaru gdzie dołączyć — chyba do Węgier, ale tego nie chciał dwór, ani sami Węgrzy, choć w ich imieniu tego zaboru dokonano.

To nowe królestwo Galicji i Lodomerji, traktowane trochę jak nabytek przygodny, zajęło odrazu bardzo skromne i upośledzone miejsce w licznym szeregu koronnych krajów. Nie mając żadnych wyraźnych celów co do tego obszaru, rząd postanowił poprostu wyciągnąć z niego, co się da dla skarbu, nałożono więc wysokie podatki i posłano złośliwą biurokrację dla ich egzekwowania; germanizacją zajęto się ubocznie, w nadziei powiększenia w ten sposób liczby swoich zwolenników. Kraj zorganizowano archaicznie, nie starając się go pozbawić smutnej cechy partykularza, a ponieważ wśród krajów monarchji stosunki galicyjskie przypominały wielce, pogrążone w poszätmarskim letargu, Węgry, więc egzotyzmem swoim ten kraj w Wiedniu nie raził. Dostała Galicja swoją odrębną kancelarję w stolicy, gwardję szlachecką przy cesarzu, sejm postulatowy i magnatów, chłopi parę „robotpatentów", — słowem sypnięto trochę drobnych łask, do których dołączono równą ilość dotkliwych szpileczek i na tem poprzestano.

Po roku 1815 panowanie austrjackie nabrało cech trwałości, a tem samem zmienił się nieznacznie charakter rządów tym krajem, nie przestając jednak niekorzystnie kształtować jego stosunków. Przedewszystkiem traktowano go po staremu, jak kolonję, nie dbają o jego interes, a jego odrębność starano się wyzyskać dla upośledzenia gospodarczego na rzecz uprzywilejowanych Czech i Austrji. Pieniądz, wydobyty z Galicji, nie wracał do niej obrócony na jakieś inwestycje, ale jak dawniej, bezpowrotnie tonął w rządowej, cesarskiej kasie. Zresztą starano się umocnić w tej upośledzonej prowincji, ale droga tego umacniania była zupełnie inna jak pruska i nie hartowała, ale demoralizowała naród.

Bo w Poznańskiem zadomowił się i umacniał rząd silny, świadomy swych celów i świadomy wartości posiadanego kraju, a tem samem szczery i otwarty — gdy tymczasem w Galicji chciał to robić rząd, z natury chwiejny i rozdarty, nienazbyt świadomy własnego posłannictwa i własnego celu w rządach nabytą prowincją. Trzymał on się dewizą: „dzielenia, żeby rozkazywać", a niezdolny, przez swą zasadniczą niewiedzę o sobie, do żadnej twórczości, umacniał się nie jakiemś budowaniem, czy pozytywną pracą, ale prostem burzeniem tego, co mu mogło zawadzać i wytrwałem kłóceniem tego, co dotychczas łączne, a więc silne, było stałem niebezpieczeństwem dla słabego rządu.

Dezorganizowano więc wszystko wytrwale i celowo; stwarzano niezdrową atmosferę kłótni i intryg, którą zatruwano ducha, starano się wypaczyć wszystko zdrowe i klimat moralny Galicji stał się wstrętny nie do wytrzymania. W tej przeżartej najgorszą trucizną kłamstwa i podłości atmosferze lęgła się powoli rzeź galicyjska i hajdamackie nastroje świętojurców, choć początek ruchu „halickiego" był zgoła odmienny. Zatruwany i rozbijany naród znalazł się w nader ciężkiem położeniu. Skłócony wewnątrz, nie z własnej winy, bo mandatarjusze umyślnie drażnili chłopów, bez możności organizowania się, atakowany przez rząd, zaatakowany został jeszcze od wewnątrz przez nową irredentę rusińską. Rozwijać gospodarczo się nie mógł, więc zachował archaiczną, szkodliwą strukturę socjalną; kulturalnie też wobec niemożliwych warunków tylko wegetował, zdobywszy się jedynie na świetniejszy od innych dzielnic teatr, dzięki ofiarności Skarbka i talentowi Fredry.

Rok 1867 znowu przyniósł zmiany i to zmiana na dobre, bo istotny samorząd i możność pracy narodowej, ale nie ustąpiły i po nim czynniki demoralizacji, bo nie zmienił się charakter Wiednia. On po staremu siał zarazę, trzymając się kłamstwem, intrygą i słabością drugich. Jak dawniej jego zasadą było „*divide et impera*" i jak dawniej nie chciał on gospodarczego rozwoju Galicji.

Ale teraz można było przynajmniej tworzyć kulturę narodową; były w kraju aż dwa, jedyne na całą Polskę uniwersytety, była politechnika i akademja umiejętności, język polski w urzędach i pol-

ska szkoła. To były plusy tej epoki, ale jej minusy chyba nierównie liczniejsze.

Litanja ich bardzo długa, ale spróbujmy zrobić przegląd, choćby pobieżny, tych chorób społecznych, które trapiły Galicję. Najważniejszą była wszechpotęga żydów, uwarunkowana niezdrowiem życia gospodarczego upośledzanego na każdym kroku kraju, a poparta wyraźną przychylnością Wiednia, bo „międzynaród" żydowski był dla międzynarodowej Austrji pożądanym cementem łączącym, żydzi zaś, nawet gdy się podawali za Polaków „mojżeszowego wyznania", zawsze byli propagatorami niemieckiej kultury. Żydowskość miast pociągała za sobą nadmierną przewagę polityczną szlachty, która, zdeprawowana obcym dawnej Polsce systemem tytułów i przepojona snobizmem, stała o wiele niżej od szlachty choćby Królestwa, a nie potrzebując o nic właściwie walczyć, degenerowała się łatwością swoich przewag, przekonana o swej wiecznej wyższości i szczególnej Bożej łasce swego prymatu, nie zadając sobie żadnego trudu, by go uzasadnić zasługą. Pogarszało sytuację i to, że w Galicji całe społeczeństwo było rozbite na wrogie częstokroć warstewki i klany, zazdrośnie strzegące swoich prerogatyw, a te wszystkie, sztuczne przeważnie podziały rząd gorąco popierał i mnożył. Nie łagodził też nigdy ostrości społecznych przemian, bo pielęgnował wszelkie źródła zatargów. Rosła więc liczba bezrobotnych, tworzył się *lumpen*-proletarjat po wegetujących bez przemysłu miastach — bezrolni i małorolni z zawiścią patrzyli na latyfundja magnatów, a drobny szlachcic, rdzeń ziemiaństwa, musiał sprzedawać folwarki żydom na spekulacje i wielokrotne dzierżawy. Pod opiekuńczym rządem najłaskawszego dla Polaków zaborcy, „nędze Galicji" rosły w nieskończoność.

Równocześnie kraj tracił swój polski charakter; Rusini, przerobieni na Ukraińców, w siedmiomilowych butach sunęli naprzód i gdyby rządy austrjackie potrwały kilkadziesiąt lat dłużej, Polska napewno cofnęłaby się do Sanu, żeby zrobić miejsce „Tyrolczykom wschodu".

A to jeszcze nie wszystko, bo obrazu dopełniają: szkoła przekupstwa i oszukiwania prawa, jaką był rząd wiedeński, i szkoła istotnego wynarodowienia, jaką było niby korzystne położenie Polaków w austrjackiej rzeszy narodów. Polska dla Galicjan coraz bardziej przemieniała się na jakąś Polskę—Galicję, nieodwołalnie sczepioną z Habsburgami i ich różnojęzycznem państwem. Autonomja i możność rozwoju własnej kultury, w niezdrowych warunkach życia Małopolski stawały się poniekąd źródłem nie tego upragnionego rozwoju, ale wręcz odwrotnie, zatruwania samej kultury, przez odrywanie jej od jej naturalnych, wszechpolskich podstaw, a tem samem pozbawianie jej ducha naprawdę narodowego.

Wreszcie, co również nie było drobiazgiem, rząd austrjacki, świadomie powiększając biurokrację (urzędnicy to byli prawdziwi Austrjacy, bo mieli interes w istnieniu państwa, które ich żywiło) i starając się jaknajwiększą liczbę ludzi uzależnić od siebie, był także wymarzoną szkołą etatyzmu i zganiania wszystkiego na państwo. Do tego państwochwalstwa dołączał się, nieodłączny od niego, kult pisarczykostwa i run na wszelkie posady, bo w po gaskońsku śmiesznie napuszonej i snobistycznej Galicji każdy skryba uchodził za coś lepszego od kupca czy rzemieślnika. Coś w tem przypominało Królestwo z ery paskiewiczowskiej, ale tylko pozornie, bo tu nie szlachta dostarczała urzędników, ale głównie wieś, ogarnięta słuszną chęcią awansu społecznego, a nie mogąca iść do zażydzonego i pozbawionego widoków rozwoju miasta. Mnożyła się więc coraz ćwierć i pół inteligencja, rozgadana i rozpolitykowana, ale zawsze wierna Austrji, a niezdolna do żadnej, poza zapisywaniem papierów, pracy. I powoli społeczeństwo galicyjskie stawało się coraz mniej polskie z ducha, a coraz bardziej cesarsko-lojalne.

Prawdziwy też cud i dowód mocy narodowej, że ta narażona na największe trucizny prowincja Polski obroniła swego ducha i swą wieczną, niezniszczalną polskość zamanifestowała, dając nam największego z poetów, prawdziwe wcielenie „Króla-Ducha" — Wyspiańskiego i porywającą wizję wielkiej przeszłości we wspaniałych płótnach Matejki.

KAROL STEFAN FRYCZ

O „LALCE" PRUSA

KILKADZIESIĄT lat temu, w okresie bujnej twórczości powieściopisarskiej, kiedy, jak z rogu obfitości, sypały się znakomite powieści: Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, nowele Dygasińskiego i t. p., więcej zachwycano się ich utworami, niż je badano i poddawano ściślejszej krytyce. Wprawdzie, stojąc pod ich wrażeniem, rozprawiano o nich namiętnie, sympatyzowano bądź niesympatyzowano z ich bohaterami, „fejletonowano" — że tak powiem — z ich powodu, zarówno wśród publiczności, jak i w krytyce bieżącej, do gruntowniejszej wszakże rozprawy rzadko dochodziło.

Najlepszym dowodem takiego stanu rzeczy jest fakt, iż z owych czasów nie mamy, poza kilkoma wartościowemi, lecz niedostatecznemi studjami Chmielowskiego, Tarnowskiego, Matuszewskiego i paru innych, żadnej poważniejszej pracy, obejmującej całość twórczości wielkich powieściopisarzy naszych, odpowiadającej roli, odegranej przez nich w tej dziedzinie literatury. Książka np. I. Nowińskiego o Sienkiewiczu była zupełnie chybiona.

Właściwie dotychczas nie posiadamy podobnej pracy o nich, przez te parę dziesiątków lat ostatnich natomiast nagromadzono sporo materjałów, dotyczących ich życia oraz działalności, a wśród młodszego pokolenia polonistów jest kilku, interesujących się specjalnie nimi, można więc spodziewać się, iż dzieło, o jakiem mowa, wreszcie się pojawi.

Do pracy, obejmującej całość twórczości B. Prusa, torują drogę książki ś. p. Ludwika Włodka, Z. Szweykowskiego i t. p., a oto świeżo ukazało się studjum „syntetyczno-porównawcze" dr. Henryka Życzyńskiego, poświęcone jego „Lalce" (wyd. Tow. naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1934 r., str. 41).

Autor powyższego studjum ma na celu „wykazać, że „Lalka" wcale nie grzeszy luźnością kompozycji, lecz posiada zwartą architektonikę, pod

względem zaś ideowym jest o wiele głębszą, niż się ogólnie przypuszcza, gdyż daje pogląd na świat, który z jednej strony korzysta z wszystkich zdobyczy nauki, z drugiej zaś otwiera przed czytelnikiem perspektywy szerszych, metafizycznych prawd".

To wszystko w istocie wykazał autor w pracy swojej, — i nawet doszedł do przekonania, że kompozycja „Lalki" przypomina swą „inżynierską robotą i konstrukcją technikę Ibsena"... Wprawdzie studjum swoje nazwał dr. Życzyński „porównawczem", za często jednak, mówiąc o „Lalce", myśli o Ibsenie i powieść Prusa wiąże z jego dramatami. Nawet „Omyłkę" Prusa łączy autor z Ibsenem, co zaś do „Lalki", to ta nasuwa mu myśl raz o „Norze" („Domek Lalki"), to znów o „Upiorach", o „Budowniczym Solness'ie" i t. d. Czy nie zawiele tych zestawień z Ibsenem?

Ci, co znali bliżej Prusa — jest nas jeszcze paru wśród piszących — wiedzą, że nie należał on do zbyt namiętnych czytelników utworów imaginujących, — czytał niektóre, gdy głośno o nich mówiono w Warszawie, wolał jednak czytać dzieła naukowe, filozoficzne, ekonomiczne, statystyki wszelkie, pisma perjodyczne, gdyż to nietylko odpowiadało jego upodobaniom, lecz było mu pomocne w jego pracy publicystycznej, a także podniecało jego wyobraźnię. „Norę" mógł czytać Prus, gdyż, jeśli się nie mylimy, istniała już ona w przekładzie polskim (wyd. A. Wiślickiego) w czasie pisania „Lalki", „Budowniczy Solness" natomiast i t. p. ukazał się dopiero po jej napisaniu. Następnie Prus, chociaż posiadał, jak autor powiada, „wysoką kulturę literacką" — niezbyt był podatny na wpływy literatury i z tej strony jaknajmniej odbierał natchnień. Zresztą, po to, żeby „Lalka" była taką, jaką jest, nie trzeba było suggestji dramatów Ibsena, była ona bowiem naturalnym wynikiem poglądów Prusa na własne społeczeństwo i jego stosunku do życia i świata, — wynikiem jego wrażliwości na to, co było naszą teraźniejszością oraz naszą, przewidywaną przyszłością.

Idźmy dalej! Zupełną ma słuszność autor studjum, że tytuł powieści jest wieloznaczny, symboliczny i że nie został on użyty po to, by wyrażał lekceważący stosunek Prusa do bohaterki utworu, poniekąd zgóry ją potępiający. Prus wogóle nie był od lekceważenia i potępiania kogokolwiekbądź, był on raczej po stronie potępianych przez świat i ludzi, i wyszukiwał dla nich okoliczności łagodzące, usprawiedliwiające i zmniejszające ich winę. Tak też zachowuje się i względem Izabeli, żeby jednak wyrozumiałość jego w stosunku do niej szła aż do sympatyzowania z nią i nie odmawiania jej nietylko uroku, lecz i „zalet umysłu i serca" — jak powiada autor studjum — to na to zgodzić się nie można. Owszem z charakterystyki powieściowej Izabeli wynika, że o jej „zaletach umysłu i serca" Prus nieszczególne miał wyobrażenie. Czy może wówczas „sympatyzuje" z nią, gdy przedstawia, jak to ona „tymczasem przeprowadza swój program" w stosunku do Wokulskiego, jak obrachowuje zyski i straty z wystąpienia jego ze spółki handlowej (rozmowa z panią Wąsowską)? A może wówczas, gdy drwi nielitościwie z jego oświadczyn (tamże), albo kiedy charakteryzuje cynicznie ten rodzaj uwielbienia, jaki W. żywi dla niej (rozmowa z p. Florentyną)?

Ordynarny flirt ze Starskim, który doprowadza Wokulskiego do szału i targnięcia się na własne życie; kombinacje rozmaite na temat wyjścia zamąż za Starskiego, a jednocześnie trzymanie w odwodzie, na wszelki wypadek, barona i marszałka; przechylanie się w stronę Wokulskiego, gdy powyższe kombinacje zawiodły i t. p. — czy to z tego rodzaju faktów mamy wnioskować, że Prus nie odmawiał Izabeli zalet umysłu i serca? W powiedzeniu Ochockiego: „Daj jej pan spokój... to dziwna kobieta", upatruje autor studjum „niezaprzeczony wyraz" sympatji Prusa do postaci, „którą dość długo pieściła się jego artystyczna fantazja".

Zauważmy nasampierw, że powieściopisarze, zwłaszcza dużej miary, mają zazwyczaj „sympatję" do tych postaci, z któremi długo pieści się ich wyobraźnia, i to bez względu na ich moralną wartość. Tak więc Balzac np. miał „sympatję" nawet do Vautrin'a, do Rastignac'a i w. in. bohaterów „Komedji Ludzkiej", nieobdarzonych zaletami umysłu i serca. W naszych czasach Mauriac „sympatyzuje" nawet z trucicielką męża, Teresą Debeyroux i t. p. Mógł więc i Prus w podobny sposób „sympatyzować" z Izabelą, jako z okazem ludzkim, zdala stojącym od tego rodzaju ludzi, którzy budzą w nas prawdziwą sympatję z powodu ich zalet. Powiedzenie Ochockiego także mało przekonywa: nie wiadomo, co ma ono znaczyć w jego ustach, i nie należy go łączyć z tem, co on mówi, że dla niego trzeba „jakiejś d z i w n e j kobiety", któraby razem z nim pracowała w laboratorjum — i zaraz dodaje: „a gdzież znajdę taką". Jasne jest, że Ochocki nie miał na względzie Izabeli, gdy myślał o żonie, któraby razem z nim pracowała w laboratorjum; „dziwność" jej dość niewyraźnie sobie przedstawiał, a przynajmniej nie wskazał nam, na czem ona polegała. To autor studjum przeznacza Izabelę Ochockiemu na żonę - współpracowniczkę, wierzy w możliwość czegoś podobnego, a to dlatego, że Izabela ma zamiar wstąpić do klasztoru i wyjechała do Paryża, dokąd udał się także Ochocki, któremu Wokulski, kojarząc — także podług studjum — w myśli swojej tę parę, zapisał znaczną część swego majątku, aby jej ułatwić wspólną pracę.

Są to wszystko domysły, wolno na nie wpadać, ale też wolno nie przywiązywać do nich większej wagi: może być tak, ale może być inaczej, nie należy więc sprawom wątpliwym nadawać charakteru pewności.

Żeby skończyć z Izabelą, dodajmy, że autor dość niefortunnie zestawia ją z „Damą Kameljową" Dumas'a i „Panią Bovary" Flaubert'a, wyrażając zdziwienie, że podczas gdy one cieszą się sympatją publiczności francuskiej, — tamta nie zdołała sobie jej zaskarbić u czytelnika i krytyka polskiego. Bezbronna, wystawiona, z powodu swej naiwnej romansowości, na zawody i poniewierkę uczuć bohaterka Flaubert'a; szczerze kochająca, nawrócona „jawnogrzesznica" — w dodatku umierająca na suchoty — nic dziwnego, iż budzą współczucie i sympatję, padają bowiem ofiarą losu, nie krzywdząc zbytnio nikogo. Co innego Izabela! — wprawdzie i ona do pewnego stopnia jest ofiarą losu, ofiarą swego środowiska, żeby dogodzić autorowi — o wiele więcej jednak jest sprawczynią złego losu tego bohatera powieści, na którego czytelnik przenosi znaczną część swojej sympatji, którego sprawami najżywiej się przejmuje i krzywdy jego odczuwa. Czytelnik więc, raczej urazę i niechęć może budzić w sobie względem niej, niż sympatję.

Na to, jak autor studjum pojmuje Wokulskiego, jak przedstawia jego dzieje i walkę o miłość, także niezawsze można się godzić. Wokulski — powiada autor — jako kochanek Izabeli, jest ściśle stylizowany na modłę romantyczną. Ależ nie, po co tu wprowadzać czynniki zbyteczne dla jasnego ujęcia sprawy, kiedy ona o wiele prościej się tłumaczy.

Wokulski, jako kochanek, wygląda „na modłę" prawdziwie zakochanego – zwłaszcza zgórą 40-letniego — człowieka, unoszonego namiętnością, która, po wielu zawodach, odczutych brakach, i tego, co zwolennicy Freuda nazywają „wepchnięciem" uczuć w głąb istoty ludzkiej — wreszcie znalazła dla siebie pożądane ujście, swój pełny wyraz. Psychologja tego rodzaju kochanka została rozwinięta znakomicie przez Prusa w głównych swoich fazach. Wszystko, co z nią się wiąże: skłonność do idealizowania, szał uczuć i t. p., są to sprawy tak naturalne, że wszelka, towarzysząca im t. zw. romantyka miłosna spotyka się, w tej lub innej postaci, u jednostek najzwyklejszych, pozbawionych „nastawienia" romantycznego.

„Jeśli Wokulski popełnia samobójstwo, jest to z jego strony" — zdaniem autora studjum — „ostatnia i najwyższa stawka, aby w lalce obudzić serce i zrobić z niej człowieka".

Tu już wchodzimy na drogę czystej fantazji. A przytem sam autor jest w niezgodzie z samym sobą, gdyż raz utrzymuje, iż Wokulski odbiera sobie życie dlatego, że wyczerpał wszelkie jego możliwości, poczuł się zwyciężonym i nie ma już nic do robienia na tym świecie, — to znowu akt samobójstwa przypisuje chęci wzniesienia Izabeli na wyższy poziom istnienia duchowego. No, ofiara ogromna, a w dodatku pewność niewielka, że będzie skuteczna, trudno więc mniemać, iż została poniesiona — właśnie dla powyższego celu.

Najgłówniejsze jednak w tem wszystkiem jest to, że nie mamy pewności, czy w istocie Wokulski popełnił samobójstwo, bo ono w powieści wygląda bardzo niewyraźnie. Spierano się o to zawzięcie dawniej, można spierać się i dzisiaj bez końca i nie dojść w tej mierze do zadowalającego rozstrzygnięcia. Sam Prus, zapytywany nieraz o to przez najbliższych mu (jak Ign. Matuszewski, J. A. Święcicki i t. p.) — odpowiadał wymijająco i dawał do zrozumienia, że mogą sobie o tem sądzić, jak komu będzie się podobało. Możemy więc sądzić i my o tem, zgodnie z naszem „widzi mi się" — nie miejmy jednak pretensji, gdy ktoś będzie się trzymał wręcz przeciwnego, niż nasz, poglądu na tę sprawę.

Autor studjum nietylko jest głęboko przekonany że Wokulski popełnił samobójstwo, lecz nadto utrzymuje, iż „ginąc pod gruzami zamku, jest podobny do Almanzara, uwalniającego oblężoną Alpuharę, niszczy bowiem w sposób symboliczny rodowy przesąd, który tak bardzo zaciążył nad jego szczęściem".

Zdaje się nam, że sam Prus odpowiedziałby mu na to: „panie, to za ładne, żeby było prawdziwe"...

Na temat tych lub owych intencyj, jakie autor przypisuje twórcy „Lalki", można bardzo długo, jak widzimy, rozprawiać. Zwróciłem uwagę na niektóre, nie dające się, podług mnie, utrzymać; są jednak i inne, trafnie wyrozumiane w dziele Prusa i dobrze przez autora wyjaśnione. Doskonale została uwydatniona przez niego strona ideowa „Lalki", i to, że pod jej szarą powłoką kryje się przecudna pieśń miłości, i wogóle to, iż jest to wielkie dzieło sztuki, gdyż wzrusza, oświeca i podnosi na duchu.

To wszystko stanowi o istotnej wartości tego studjum syntetyczno-porównawczego.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

Z „JASEŁEK"

KOLĘDA ŻAKA i LUTNIKA o BETLEJEM

...Z tej strony przyszedł oto Żak, powsinoga, z tamtej wniebowzięty Lutnik. Żak w birecie aksamitnym ciemnym, w błękitnym płaszczu z kryzą pod szyję. Lutnik bez kołpaka, ze złotemi kędziory, opadłemi na ramiona[1]).

ŻAK

1. Poznaję cię po luteńce!
Dokąd droga prowadzi?

LUTNIK

Do Jezunieczka w stajence:
w Jego śpiewam czeladzi.

ŻAK

2. Dziś mi z nauką nieskoro:
wiatr do świata zawołał!

LUTNIK

Było wieczorową porą:
...zobaczyłem anioła!

ŻAK

3. Ten i pastyrzom się zjawił —
z blasku padli o ziemię!

LUTNIK

Boże Narodzenie sławił,
— że, — prawił, — w Betlejemie!

ŻAK

4. A kogóż pytać, gdzie ono,
kiedy nie wie pergamin!

LUTNIK

W srebrnej dolinie pono,
za polskiemi górami!

JANUSZ KAWECKI

[1]) Z I obrazu „Jasełek", muzykę do kolęd Żaka i Lutnika napisał Wiktor Krupiński.

NA WIDOWNI

Zaciekawienie średniowieczem. — Nowa powieść Jarosława Iwaszkiewicza. — Styl, erudycja, ideologja. — W dobie umysłowości dziennikarskiej.

ZACIEKAWIENIE ŚREDNIOWIECZEM, pełne sympatji, a nawet tęsknoty jest objawem coraz powszechniejszym w życiu umysłowem Polski współczesnej. Nie jest przypadkiem sukces książki Doboszyńskiego („Gospodarka narodowa"), która wskazania ekonomiczne na dzień dzisiejszy wiąże najściślej z systemem idej, wyłożonych w „Summie" św. Tomasza z Akwinu. Nie jest przypadkiem, że w przeciągu paru lat ostatnich jedna po drugiej pojawiają się u nas powieści historyczne o XII i XIII stuleciu: Jana Powalskiego (Nitschowej) „Nad jeziorem", Zofji Kossak-Szczuckiej „Legnickie pole", i nakoniec, przed kilkoma tygodniami, „Czerwone tarcze" Jarosława Iwaszkiewicza [1]). Coś dziś nanowo zaczyna interesować i podobać się w tej odległej epoce dziejów, co doniedawna najrzadziej chyba absorbowała uwagę naszych beletrystów.

Powieść Iwaszkawicza usposabia życzliwie już ze względu na urok poetycki tematu: ukazuje księcia sandomierskiego, Henryka, czwartego syna Krzywoustego, wyjątkową w historji naszej postać — Piasta-krzyżowca. Życzliwość wzrasta, kiedy w toku czytania natrafia się na urywki, nie pozbawione wyrazistości albo wdzięku: opis poranka w Bartolomä nad Królewskiem Jeziorem, śmierci cesarza Konrada w Bambergu, pierwszej uczty Henryka na zamku w Sandomierzu, budowy kolegjaty w Opatowie... Niestety, wady „Czerwonych tarcz" zbyt są poważne i liczne, aby się dały chociaż na chwilę zapomnieć podczas lektury dzieła.

*

Przedewszystkiem: język. Oto, naprzykład, charakterystyczna dla Iwaszkiewicza próbka słownictwa i stylu. Agnieszka, żona Władysława II, razem z nim z Polski wypędzona, spotyka w Niemczech, bawiącego przejazdem, młodszego brata Władysławowego — Henryka: „Uśmiechnęła się... widać było, iż każdy k o n t a k t z krajem, z którego ją wygnano, ceni sobie bardzo. Tem bardziej, że miała do czynienia z jednym z d e c y d u j ą c y c h c z y n n i k ó w w państwie" (str. 46).

Ten „decydujący czynnik" jest niezrównany. Takby napewno pisał „reportaż" t. zw. Konrad Wrzos z „I.K.C.", gdyby, jak w baśni, przenieść go nagle w epokę wojen krzyżowych...

Pragnąłbym uniknąć nieporozumień. Nie za złe, ale za dobre poczytuję Iwaszkiewiczowi, że nie sili się na niepotrzebne archaizmy, że wystrzega się owych „wozów picownych" p. Kossak-Szczuckiej, która aż słowniczkiem specjalnym zaopatrzyć musiała „Legnickie pole", aby uczynić się zrozumialszą dla dzisiejszego czytelnika. Ale, pisząc polszczyzną współczesną, czemuż pisać z ł ą polszczyzną współczesną, zdawkowemi szablonami reportera?

Przykładów takich stereotypów dziennikarskich można wskazać w „Czerwonych tarczach" bez liku. Bohaterom Iwaszkiewicza zdania bezwiednie układają się w formułki z artykułów wstępnych gazet, w styl notatek czy komunikatów prasowych: „... w miejscu, gdzie k r z y ż u j ą s i ę w s z y s t k i e i n t e r e s y" — ta metafora nasuwa się Bernardowi z Tremelai, wielkiemu mistrzowi templarjuszy, gdy opowiada o zadaniach zakonu rycerskiego w Jerozolimie (str. 168); „Interes Polski wymaga zjednoczenia wszystkich ziem polskich" — zauważa Agnieszka Władysławowa w pogawędce z Henrykiem sandomierskim (str. 57); „Sztuka rządzenia polega na umiejętności przystosowania się do warunków" — oświadcza z powagą Mieszko Stary (str. 344), jakby cytował przeczytaną przed chwilą opinję z trzymanego jeszcze w ręku numeru „Czasu"...

*

Nietylko język „Czerwonych tarcz" jest dziennikarski, tenże sam jest gatunek ich erudycji. Jej popisowość, a zarazem niedokładność często bardzo przywodzi na myśl informacje, jakie w rubryce t. zw. „ciekawostek naukowych" zapełniają szpalty prasy brukowej. Wynotujmy z obfitego materjału kilka przykładów.

Wibald ze Stablo, kanclerz Konrada, opowiada „uczenie o mnichach i braciach, którzy zanim co budować zaczną, rysunki przyrządzają i potrafią sklepienia w kształt gwiazdy pobudować, jak to już w Spirze, w Kolonji u Świętego Marcina i w innych miastach niemieckich, w Bambergu samym nawet nowomodnie uczynili" (str. 93—94). Mówi zaś o tem wykształcony Wibald już w r. 1152, kiedy budowę Św. Marcina w Kolonji rozpoczęto w dwadzieścia lat później (około r. 1172), a prowadzono do połowy — mniej więcej — wieku trzynastego [2]). Również strop tumu bamberskiego był w tym okresie jeszcze płaski i drewniany, jak się zdaje, przynajmniej do chwili pożaru, co miał go zniszczyć w r. 1181 [3]).

Lecz Iwaszkiewicz jakoś wogóle nie ma szczęścia, jeżeli chodzi o daty budowli średniowiecznych. Wszak utrzymuje, że Św. Jakuba w Sandomierzu postawili cystersi, i już za życia księcia Henryka odprawiano tam nabożeństwa (str. 392), kiedy, przeciwnie, jest świątynia ta dziełem dominikanów, wzniesionem przez nich w połowie trzynastego stulecia [4]).

Są atoli pomyłki groźniejsze, niż niepewna bądź co bądź nieraz chronologja architektury średniowiecza. Kiedy więc Henryk, wracając do Sandomierza, widzi nietylko „opaskę murów ceglanych"(!)—lecz nawet „ratusz murowany" (str. 211)—autor był zresztą nie całkiem pewny swojej wizji, gdyż na stronicy 308 informuje, że ratusz ten był jednakże „budynkiem drewnianym" — to błąd tym razem dotyczy rzeczy ważniejszej znacznie, aniżeli drobiazgu z historji budownictwa. Ratusz mógł przecież stanąć jedynie przy ustroju autonomicznym miast, po przejściu na t. zw. prawo niemieckie, a ten przewrót w naszem życiu społecznem i państwowem dokonywa się dopiero w połowie wieku następnego (Sandomierz np. ma lokację w r. 1244) i stanowi prawdziwy przełom w na-

---

[1]) J a r o s ł a w I w a s z k i e w i c z: „Czerwone tarcze", Warszawa, 1934, Gebethner i Wolff, str. 394.

[2]) M a x C r e u t z: „*Kölner Kirchen*", Köln, 1920 str. 30 i nast.

[3]) F r. F r i e d r. L e i t s c h u h: „*Bamberg*", Seemann Verlag, Leipzig, 1914, str. 37.

[4]) F e l i k s K o p e r a w wydawnictwie zbiorowem „Polska, jej dzieje i kultura", nakł. księg. Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa, tom I, str. 426.

szych dziejach. Wszak miasto, rządzące się swojem własnem prawem, z wójtem, radą miejską i ławnikami, ściągające kolonistów niemieckich, o rzemiośle, zorganizowanem w cechy, było czemś najzupełniej odmiennem od dawniejszych grodów piastowskich, z ludnością niewolną, założonych przedewszystkiem dla celów obrony kraju. Autor więc powieści historycznej, malującej epokę i jej zwyczaje, nie powinien pozostawać w niepewności, jeśli chodzi o różnice tak zasadnicze.

Jednym z bohaterów „Czerwonych tarcz" jest pielgrzymujący do Ziemi Świętej mnich, aż z Norwegji rodem, „franciszkanin Bjarne" (str. 153), uosobienie franciszkańskich cnót: miłosierdzia, ubóstwa, pokory. Z pewnem zażenowaniem przychodzi mi też zwrócić uwagę, że franciszkanin ten... żyje i działa na trzydzieści lat przed narodzeniem św. Franciszka z Assyżu, co nastąpiło w r. 1182, a niezorjentowanie się w ważności tej daty jest znowuż błędem, wcale nie drobnym, u autora powieści, który się podjął dać w swojem dziele wizerunek duchowy średniowiecza. Toć wielkie dzieło, dokonane przez świętego z Assyżu, było jedną z najgłębiej sięgających rewolucyj, Europa chrześcijańska po świętym Franciszku niewątpliwie inna była, niż przed jego wystąpieniem, i nie zauważenie momentu tak wielkich przemian mało pochlebne daje świadectwo wnikliwości historycznej powieściopisarza.

Wogóle pamiętać należy, że chrześcijaństwo w Europie średniowiecznej nie drugorzędną odgrywało rolę, że więc autorów, piszących o tej epoce, obowiązuje pewna znajomość jego zasad. Nie jest też dobrze, iż Jarosław Iwaszkiewicz nie potrafi wyliczyć np. siedmiu sakramentów, że za jeden z nich uważa... koronację(!), i ten swój pogląd nakazuje głosić, biegłemu w teologji, mistrzowi Ottonowi ze Stuzzelingen (str. 68). Nie jest właściwe, że w usta opata Gereona kładzie nauki zgoła przeciwne chrześcijańskiej doktrynie o możliwości modlitwy za niewiernych (str. 328).

*

Dziennikarski język i styl, dziennikarska erudycja — to oczywiście znamiona czegoś ogólniejszego, zasadniczego typu psychicznego pisarza, który wycisnął jednolite piętno na całym jego najnowszym utworze. Typ to pod względem instynktów polski, o reakcjach często prawidłowych—wyraźnie czuć to np. w rozmowie, jaką odbywa Henryk z Barbarossą pod Krzyszkowem (str. 264 — 268) — lecz umysłowo nieodrodne dziecię epoki, kształconej na dziennikach, i w tym jedynie porządku ujmować zdolne: zasady, konflikty, zagadnienia. W sprawach życia interesuje go — sensacja, w sprawach idej — efekt fejletonowych niedomówień. Jakże tu szukać w „Czerwonych tarczach" zagłębiania się w charakter człowieka, w jego sumienie, w wyjaśniania motywów jego działań? Wszak i sam autor nie bierze chyba na serjo, gdy konstruuje takie wytłumaczenie psychologiczne, dlaczego żyd, handlarz kradzionemi końmi w Niemczech, staje się nagle najoddańszym powiernikiem, bezinteresownym sługą i przyjacielem księcia sandomierskiego: Henryka „...mój książę to jest wielki książę. A sługa służący wielkiemu księciu, sam staje się uświęcony... A Urjasz walczył za Dawida, choć mu on żonę zabrał, i walczył, i pobił wrogów jego i święta jest pamięć Urjasza, choć nienawidził Dawida za krzywdę jego" (str. 355—356).

Zatem konkluzja: o średniowieczu dowiemy się z powieści Iwaszkiewicza niewiele; o wieczystych zagadkach duszy ludzkiej również... Ale o naszych własnych czasach można nauczyć się niejednego: Jak, przypuśćmy, „Malwina" ks. Wirtemberskiej jest typową powieścią w stylu sentymentalnym, „Czerwone tarcze" mogą być kiedyś klasycznym przykładem na to, jakie pisano powieści historyczne w dobie umysłowości dziennikarskiej...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

HASŁO „przewartościowania" wartości nie jest wynalazkiem nowym, aczkolwiek w ostatnich czasach poświęca mu się dużo miejsca. Zaczęło się to już bardzo dawno, a szczytowy swój wyraz znalazło dotychczas w przewrocie bolszewickim, dokonanym roku 1917-go.

Dla przykładu przytaczam poniższy urywek, wyjęty ostatnio ze szpalt prasy codziennej:

> Prasa sowiecka poświęca dłuższe artykuły 11-letniemu chłopcu, należącemu do komunistycznej organizacji dzieci „Pionier".
>
> Chłopiec ten, nazwiskiem Paweł Bałandin, doniósł władzom, że jego ojciec był dawniej żandarmem carskim i jako taki powinien być skreślony z listy osób, posiadających prawa polityczne. Pozatem młodociany komunista złożył doniesienie, że jego ojciec, zatrudniony w tartaku państwowym, kradnie socjalistyczne drzewo i inną własność państwa sowieckiego.
>
> Skutkiem tej denuncjacji ojca Bałandina pozbawiono praw wyborczych, usunięto z pracy i zaliczono do t. zw. „liszeńców", pozbawionych prawa korzystania z ulgowego nabywania artykułów żywnościowych.
>
> Dzienniki sowieckie pochwalają „uświadomienie komunistyczne" 11-letniego chłopca, nazywając go „b o h a t e r e m klasy robotniczej".

Doznajemy w pierwszej chwili takiego uczucia, jakby nas ktoś boleśnie skrzywdził...

I to ma być bohater?—zapytamy— I to mają być ludzie?

Walka pomiędzy staremi a nowemi zasadami ma tylko wówczas sens, o ile podkładem jej jest poszukiwanie czegoś wieczystego — w codziennym rozgwarze ścierających się haseł, zbyt często zapominamy o tych, które były, są i będą po wieki wieków.

Właśnie dzisiaj po całym świecie rozlega się głos: „P o k ó j l u d z i o m d o b r e j w o l i!.."

— — — — — — — — — — — — — —

Można go usłyszeć i — przewartościować na model nowego człowieka, co to już w kołysce łeb udrze... ojcu i matce, można znowu gdzieindziej d o b r ą w o l ę zamienić np. na „rację stanu", będącą kluczem do rozwiązywania zagadnień natury moralnej, oddawna już rozwiązanych, i to w sposób niepodlegający żadnej dyskusji, ale czy w tych obydwu wypadkach osiągnie się ów p o k ó j duchowy, wynik poczucia dobrze, uczciwie spełnionego obowiązku?...

CHCĄC, CZY NIE CHCĄC przyznać musimy, że nie zawsze szczytowe szczeble drabiny społecznej, która po „przewartościowaniu" dawnej struktury, naczelne miejsce przyznała w imię kultu rozumu przedstawicielom intelektu, dają powód do zachwytu. Okazuje się bowiem,

że nawet stopień profesora uniwersytetu nie potrafi czasami wpoić najprymitywniejszych pojęć i wyplenić prostactwa duchowego.

Przykładem mowa prof. Wacława Makowskiego, wygłoszona na posiedzeniu senackiej komisji konstytucyjnej, dnia 14 grudnia b. r., w której referent projektu rządowego wytłumaczył dobitnie, dlaczego w ustawie, określającej ustrój państwa, opuszczono wyraz naród.

A więc po pierwsze dlatego, że nie jest on żadnem pojęciem prawnem, po drugie zaś, że to poezja, dobra dla Mickiewicza...

Pierwszy powód jest rzeczywiście ważny; przypomnijmy sobie tylko, ile wysiłków włożyła „sanacja" w okresie swoich rządów, ażeby wszystko odbywało się zgodnie z prawem... To też nad tym argumentem referenta przechodzimy odrazu do porządku.

Lekceważące wyrażenie się o Mickiewiczu wywołuje conajmniej niesmak. Zrozumieliśmy w tej chwili, że pojęcie „najlepszych synów", których ofiarą powstało państwo polskie (punkt 2-gi paragrafu 1-ego nowej konstytucji), jest znacznie węższe, aniżeli przypuszczaliśmy. Ofiara Mickiewicza nie liczy się i można mu ją wypominać jako poezję. Bo czyż to był „czyn"?

Naród jest poezją... Naród pozostawia się takim, jak Mickiewicz...

Słusznie. Proza należy niepodzielnie do p. p. Makowskich, Wiślickich, Mincbergów, Carów, Sanojców, Kostków-Biernackich...

KOLĘDA

W noc Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia!
Koń, wół, osioł, dwa jagniątka
Przyszły z hołdem do Dzieciątka.

Rżą, ryczą, beczą i kwiczą
Z wdziękiem, taktem i słodyczą.
Wyżeł i foks ostrowłosy
Poszczekują na dwa głosy.

Kot mruczy swoje pacierze,
Z wróblami zawarł przymierze,
A te ćwir, ćwir, rojno, gwarno,
Ku Jezuniowi się garną!

Cały świat się dziś raduje,
Czemuż człowiek się frasuje,
Czemu w sercu nosi chmury?
Hej, Polaku, łeb do góry!

Jeszcze słońce nam zadnieje,
Jeno w Bogu miej nadzieję,
Polska trwała tyle wieków,
Przetrwa kryzys i bebeków.

Bóg nam zginąć nie dozwoli,
Pokój ludziom dobrej woli!

ARTUR CHOJECKI

NAUKA i LITERATURA

O TEATRZE PRZED STU LATY

Jako № 11 bibljoteki p. t. „Studja z zakresu historji literatury polskiej", ukazała się praca p. Bohdana Korzeniewskiego p. t.: „Drama" w warszawskim Teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego"[1]).

Książka ma pewien posmak aktualności, chociaż traktuje o czasach odległych, bo akurat z przed stu lat. Jednakże dziś, kiedy dokoła teatru tyle się toczy dyskusyj, szczególniej w Warszawie, gdzie się teatrom zarzuca dekadencję, warto zobaczyć, jak wyglądały sprawy teatru w tejże Warszawie w owych właśnie czasach. Są to bowiem czasy walki klasycyzmu z romantyzmem, zagorzałych dyskusyj między zwolennikami klasycznej „trajedji" i romantycznej „dramy", czasy, w których się też dużo mówiło o upadku teatru.

Przed stu laty toczyła się walka między zwolennikami klasycznych reguł dobrego smaku, a nowatorami romantyzmu, którym na rękę szła publiczność warszawska, szukająca łatwych a silnych wzruszeń. Drama, szczególniej zaś melodrama, wzruszeń tych dostarczała masowo, na tle bardzo romantycznych dekoracyj. Ostatecznie drama zwyciężyła i tej to, niedołężnej zrazu i rozbrajająco naiwnej dramie zawdzięczać należy późniejszy rozkwit sztuki scenicznej. W tych jednak czasach, teatr, tak niedawno przedtem zdemokratyzowany, musiał dogadzać swej nowej, a entuzjazmującej się sceną publiczności.

Dziś walka toczy się właściwie między teatrem a kinem. Toczy się dzięki temu, że teatr łudził się długo, iż potrafi kino zdystansować w efektach i tej właśnie łatwiźnie sensacyj, na które i dzisiaj wielu jest amatorów. Podczas więc gdy teatr starał się upodobnić do kina, co mu się nie udawało, kino doskonaliło się w technice i krystalizowało własne środki artystyczne, tak, że wyszedłszy od naśladownictwa teatru, dziś stało się sztuką odrębną i samoistną. Walka powinnaby się skończyć. Kino nie ma już ochoty naśladować teatru, niechże i teatr nie stara się naśladować kina. Rywalizacja ich jest już w tem stadjum, że powinnaby doprowadzić do krystalizacji dobrego teatru i dobrego kina, idących własnemi, odrębnemi drogami. Kwestję komplikuje sprawa finansowa, gdzie znowu kino dystansuje teatr i tutaj rzeczywiście konieczna jest zasadnicza reforma.

Jak wiele jednak zmieniło się przez te sto lat! Gdybyśmy dzisiejszą publiczność przenieśli w owe czasy walki „trajedji" z „dramą", nie robiłaby kasy ani drama, ani trajedja. Nie wzruszałaby nas trajedja, bo jesteśmy już zblazowani świetnym okresem realizmu na scenie, kiedy suche formy klasycyzmu nie krępowały szerokich możliwości artystycznych rozwiązań. Ale i nie drama, ta naiwna, poczciwa drama z romantycznym zamkiem, bitwami na drewniane pałasze, w której jeśli mordowano, to wszystkich, włącznie z suflerem. Miłość księżniczek i tragiczna ich losu zawiłość nie wzruszałyby dzisiejszej publiczności, która, jeśli chodzi o sensacje, zblazowana jest kinem. Któżby dzisiaj traktował poważnie dekoracje zamków królewskich, malowane przez pana Smuglewicza, skoro w kinie zobaczyć można prawdziwe zamki królewskie, co więcej — prawdziwy New York. Okazałość dworów królewskich zbladła wobec wspaniałości multimiljonerskiej *à la* Rotschild, a najbardziej tragicznego ze wszystkich tragicznie kochających książąt Kusociński zapędziłby w kozi róg. Czyniąc to porównanie nie sposób obronić się od wrażenia, że jednak ów dawniejszy książęco-

[1]) Studja z zakresu historji literatury polskiej № 11, Bohdan Korzeniewski — „Drama" w warszawskim Teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego (1814 — 1831)", 1934, wydane z zasiłku Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, skład główny w Kasie im. Mianowskiego.

tragiczny snobizm był cokolwiek w lepszym smaku od dzisiejszego snobizmu dolarowo-mięśniowego.

Praca p. Korzeniewskiego zaliczona jest do szkiców z historji literatury polskiej. Można mieć wątpliwości, czy słusznie. Mało bowiem można się z niej dowiedzieć o istocie i skutkach przemiany literatury dramatycznej, jakiej uległa ona w owych przełomowych dla sztuki czasach. Autor maluje raczej ogólne tło nastrojów, walk i dyskusyj metodą obfitych i niestety często chaotycznych cytat z ówczesnych recenzyj teatralnych. Szkoda jednak, że cytaty owe zawierają głównie docinki zwalczających się obozów, a przecież to wtedy właśnie Mochnacki, o którym dziwnie mało wspomina p. Korzeniewski, pisał:

„Z wprowadzenia dzieł sławniejszych romantyków na scenę ojczystą, wyniknęłyby ważne dla teatru polskiego korzyści. Ponieważ jak cała romantyczna literatura, tak i teatr romantyczny nie jest kunsztownym systematem, udoskonalonym podług zasad stanowionych *à priori*, ale rzeczą narodową, zgodną z dziejami, charakterem, wiarą i obyczajami, ledwo nie wszystkich ludów europejskich, co na zwaliskach państwa rzymskiego swój byt ugruntowały; przyznać więc trzeba, że wpływ jego pod względem moralnym i estetycznym byłby nierównie dzielniejszy i trwalszy, aniżeli teatru klasyczno-francuskiego, który... jest tylko wynalazkiem szkolnej teorji, nieopartej na podstawie historycznej. W literaturze dramatycznej te tylko dzieła są nieśmiertelne, które na umysłach widzów lub czytelników wielkie sprawują wrażenie. Efekt dramatyczny jest miarą ich wartości i podług tej tylko z kolei szacować je należy. ...Wreszcie na pochwałę teatru romantycznego powiedzieć możemy, że zasadą jego są dzieje narodowe. Myśli więcej poetyckie, prawdziwsze uczucia i bliższe z naturą powinowactwo, będące ogólną cechą utworów romantycznych, sprawiłyby u nas niemało ważną zmianę, co do samego w sztuce dramatycznej upodobania..."

Ta jedna choćby cytata wskazuje na głębsze, ideowe podłoże sporu, zwłaszcza, że Mochnacki popiera te słowa następującemi zdaniami:

„Co tylko w społeczności ludzkiej nie opiera się na historycznej podstawie, nie ma związku z przeszłością i ściśle połączone nie jest, ani spowinowacone z organizacją teraźniejszego życia, trwać długo i do następnych pokoleń przejść nie może. Najmędrsze nawet ustawy i prawa, ale sprzeczne z duchem wieku, niezgodne z charakterem, zwyczajami i wiarą mieszkańców kraju, prędko zmieniać się muszą, lub skazane być na zapomnienie; tę niezaprzeczoną, bo z doświadczenia wyciągnioną prawdę, zastosować także można do literatury, a szczególniej do poezji i sztuki dramatycznej"[2]).

P. Korzeniewski ulega suggestji naiwnej groteskowości owych walk trajedji i dramy, i walki te przedstawia jako zabawne spory patetycznych szermierzy słowa. Próżnoby szukać pogłębienia kwestji, które dają słowa Mochnackiego.

Groteskę owych czasów odczuł p. Korzeniewski dobrze. Tak się nią jednak przejął, że sam wpadł w styl zawile efekciarski, czego skutek jest taki, że tam, gdzie autor zaprasza czytelnika do śmiechu, czytelnik nie ma na to ochoty i czuje się zakłopotany, wpada zaś w wesołość często pomimo woli autora. Dzieje się tak naprzykład, gdy czyta:

„Obaj dyskutujący, tedy i pan Iks — gorączka i pan W. C. rozsądny, opanowany, obrzucali się ogólnikami, — które tyle zawierając z konkretności myślenia, ile bańki mydlane mydła, rozpryskują się tuż przy wydmuchującym".

[2]) Wszystkie powyższe cytaty wyjęte są z recenzji Mochnackiego o sztuce „Lekarz swego honoru" Kalderona, drukowanej w „Gazecie Polskiej" w r. 1827.

lub:

„Tak, z tem się trzeba zgodzić: to szarpanie złudy, mieszanie jej z rzeczywistością spoconych łysin, skaczących rzędami ku drzwiom i spowrotem, działa i dziś fatalnie".

albo:

„... — cnota w tem środowisku, to jakby przechwalanie się hartem wobec... pieczenia nagniotka i robienie łzawych oczu męczennika. To też w atmosferze moralnej tych dram siekierę możnaby zewiesić".

Równie niewybredne porównania i dowcipki czyni autor na każdym kroku, nieustannie wywijając łamańce, tak, że przypomina Pawła z bajeczki, który „najdziksze wyprawiał swawole."

Wygląda przy tem na bardzo przejętego tem, co czyni i zadowolonego z wyników. Atoli zupełnie niesłusznie. Przyjaciele powinni mu to wyperswadować.

Dzięki tym łamańcom książka traci wiele na jasności. Autor zdaje się wysuwać na plan pierwszy nie to, co chciał powiedzieć, ale jak chciał powiedzieć, że zaś to jak jest nieświetne, więc czytelnik odnosi niemiłe wrażenie. To zaś wrażenie niezadowolenia dominuje i przytłumia refleksje o treści, jednak czytelnik czuje się rozgrzeszony, boć przecie i autorowi, jak się zdaje, zależało przedewszystkiem na fikaniu koziołków, w czem istotnie pobiłby na głowę pana Zagłobę, choć ten aż kilkaset kozłów na majdanie machnął.

Książka zawiera „spis dram i melodramatów, granych w latach 1814 — 1831", skorowidz nazwisk, oraz obszerne przypisy, obejmujące dziesięć stron petitu. J. GR.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Tow. literatów i dziennikarzy przyznało doroczną nagrodę literacką za r. 1935 Adolfowi Nowaczyńskiemu za całokształt twórczości dramatopisarskiej. Znakomitemu pisarzowi przedstawiciele świata literackiego składają z tego powodu gratulacje, uznając w całej pełni, że odznaczenie to słusznie mu się należało już oddawna.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się książka inż. Jana Wortmana p. t. „Sofizmat na usługach absurdu". (Sensacyjne prądy w nauce). Warszawa, 1934. Str. 64.

Autor, gorący wyznawca newtonowskiej koncepcji budowy świata, z pasją atakuje różne nowoczesne poglądy fizyki teoretycznej, opierające się na teorji Einsteina, którego uważa za jednego z głównych w czasach ostatnich jej reformatorów. W wywodach, nieraz okraszonych dowcipem, a nieraz pewną dozą zgryźliwości, usiłuje wykazać, iż Einstein dzięki rozciągnięciu teoryj zjawisk, zachodzących w mikrokosmosie, na świat makrokosmosowy zreformował fizykę w ten sposób, iż jej założenia kłócą się z wymaganiami zdrowego rozsądku i dlatego są one nie do przyjęcia. Większość twierdzeń tego fizyka, utrzymuje p. Wortman, jest tak skonstruowana, że kryje się w nich wewnętrzna sprzeczność, jedynem słusznem twierdzeniem Einsteina jest teorja, potwierdzona potem doświadczalnie, korpuskularnego charakteru światła, będąca nawrotem do poglądów Newtona.

Jak się zdaje, publikacja p. Wortmana nie przekona współczesnych fizyków. Pewne twierdzenia i hypotezy Einsteina, które przeważnie, kiedy on je ogłaszał, wisiały już, można powiedzieć, w powietrzu, weszły na trwałe do nowoczesnej nauki. Mogą one ulec z czasem przekształceniom, a nawet być odrzucone; nikt jednak nie zaprzecza, iż dały one duży impuls rozwojowy fizyce. Tem niemniej książka ta może być pożyteczną, jako protest przeciw narzucaniu wszystkim przez, nie powołanych przeważnie do tego przez naukę, różnego autoramentu publicystów (w dużej części żydów) jakiegoś światopoglądu, opartego podobno na nowej fizyce, którą się popularyzuje i wulgaryzuje w ten sposób, że nie daje to nikomu żadnej korzyści, a prowadzi tylko do nieporozumień. (L.)

*

Pod tytułem „Sprawa żydowska w adwokaturze" ukazała się broszura adwokata Jana Optata Sokołowskiego, omawiająca zatważający napływ żydów do adwokatury, zupełnie niewspółmierny do ilości żydów w Polsce.

Jeżeli w Małopolsce adwokatów Polaków jest zaledwie 10%, a w adwokaturze warszawskiej, w młodszych rocznikach około 20%, to widoczne, że żydowska mniejszość w Polsce stała się w adwokaturze przytłaczającą większością. W dalszych rozdziałach: „Środki zaradcze przeciw zażydzeniu adwokatury", „Dlaczego zniesiono obowiązek aplikacji sądowej dla adwokatów" i „Dlaczego tylko na obszarze 10 sądów okręgowych", autor broszury rozwija program akcji, zmierzającej do naprawy tych nienormalnych stosunków, groźnych dla społeczeństwa polskiego. Broszura w cenie 1 zł. jest do nabycia w „Domu Książki Polskiej" oraz w innych księgarniach.

TEATR

„INTRYGA i MIŁOŚĆ"

SCHILLER święci obecnie w Warszawie triumfy, jak za dobrych, romantycznych czasów. Po „Marji Stuart" w krótkim czasie mamy „Intrygę i miłość". Tym razem w teatrze Narodowym. Inscenizowali tę wielką machinę dramatyczną w 9 obrazach p.p. Węgierkowie. On reżyserował, p. Węgierkowa dała efektowne dekoracje. P. Węgierko też grał główną rolę majora Ferdynanda. Przełożył sztukę nanowo Juljan Tuwim. Wdzięczną i nie za obfitą ilustrację muzyczną dorobił utalentowany kompozytor, Michał Kondracki.

Rzecz wystawiona bardzo starannie, w doskonałej obsadzie, podobała się ogólnie. Najlepszą salę, najżarliwiej słuchającą mają teraz dramaty, w których żywioł uczuciowy dobywa się na plan pierwszy. Rzekłbyś, publiczność spragniona jest głosu ludzkiego. Każde wynurzenie, idealistycznie zabarwione, witane jest z aplauzem. Robi nawet pewną satysfakcję fakt, że pisarz, który do niedawna prowadził nas z brawurą w świat kabaretu i „szmoncesów" pod hasłem „śmierć teatrowi", obecnie z pokorą przekłada starego romantyka. Jakżeż to niedawno teatr, pod tą samą dyrekcją, zakładał sobie plany kabaretowe!

Główne role wykonywali, oprócz p. Węgierki, p. p. Chmielewski, Ludwik Solski, Justjan, Grabowski oraz p. p.: Malicka, Gorczyńska, Słubicka. Szczególne zadowolenie estetyczne daje gra Solskiego, który z roli Millera muzyka robi arcydzieło. W zespole ogólnym liryzm p. Malickiej (Eliza) robi wrażenie wjolinowego sopranu w orkiestrze. Ładnie też grała p. Gorczyńska rolę kurtyzany, Lady Milford. W tej orkiestrze dobrym basem był p. Chmielewski, doskonałym w stylu Papkina Kalbem był p. Grabowski.

Teatr wyprzedany, oklasków wiele. Z. W.

MUZYKA

W ŚRODĘ, dnia 18 grudnia odbył się w sali Opery koncert kompozytorski Karola Szymanowskiego, który stał się okazją do wyrażenia serdecznego stosunku, jaki łączy ogół z osobą wielkiego twórcy.

Program zawierał „Uwerturę koncertową" i IV-tą symfonję, wykonaną przez połączone orkiestry Opery i Filharmonji pod dyrekcją Adama Dołżyckiego, pieśni „Muezzina Szalonego", kurpiowskie i „Święty Boże" (do słów Kasprowicza), odśpiewane przez Stanisławę Szymanowską, oraz utwory skrzypcowe (*La Fontaine d'Arethuse*, pieśń Roksany, pieśń kurpiowska, nokturn i tarantella), odegrane przez Eugenję Umińską. Przy fortepianie kompozytor.

Była to doprawdy rzadka okazja usłyszenia tak idealnie dobranych wykonawców, będących wyrazem i produktem wysokiej kultury.

Obszerne sprawozdanie wraz z omówieniem twórczości genjalnego artysty odkładam do przyszłego numeru, o którym będę miał możność podzielenia się wrażeniami i z wieczoru, urządzonego przez Instytut Włoski w Warszawie, w czwartek 20 grudnia b. r.

W. N.

OFENSYWA

RADYKAŁY-CADYKAŁY

„WOLNOMYŚLICIEL POLSKI" z ul. Królewskiej ośmielił się w jednym z ostatnich numerów skrytykować także zabobony, przesądy i barbaryzmy judaistyczne, które przeważnie są *Tabu*, tak dla Hulki - Rzymowskiego jak i dla Iksjona-Waserzuga *(secundo voto* Wasowski). Nie uszło to płazem Dawidowi Jabłońskiemu i jego kompanom. Wolno p.p. Ułaszynowi czy Chwistkowi napadać na kler katolicki, wolno wyszydzać „Rycerza Niepokalanej" i inne bezpretensjonalne, dewocyjne wydawnictwa, byle „świętości nie szargać", to znaczy zostawić w spokoju i nie wywlekać nigdy nic z życia i obyczajowości cadyków, rabinów, szamesów, mełamedów. Jak rok długi ani w „Expressiaku" ani w „Porranniaku" i t. p. sanatkach nie znajdzie się nigdy nic ciekawego o zabobonach w Górze Kalwarji czy w Sadogórze. Nic nigdy dodatniego o misjonarzach, o zakonach, zakonnicach i nic nigdy ujemnego o bethamidraszach i mykwach. Pod tym względem nawet „Robotnik" z Wareckiej jest znacznie objektywniejszy, neutralniejszy, no i poprostu normalnie uczciwszy, mniej podlizujący się czytelnikom z za „Żelaznej Bramy".

A tymczasem na tej Chasydzkiej niwie można zbierać także niezwykle zabawne kwiatki, choćby dla rubryki „Co w trawie piszczy?" w „Expressiaku", lub dla satyrycznego dodatku p. Miry Zimińskiej w „Porranniaku".

Niedawno np. do rabina Potasznika zgłosiła się grupa ortodoksów z zapytaniem, czy właściwie mogą jeść cukier? Cukier przecież w czasie rafinowania przechodzi przez warstwę węgla kostnego, a w tych palonych kościach mogą też być i kości wieprzowe?... Cukier więc byłby trefny. Problem ten w całym rabinackim świecie stolicy Judosłowian wywołał żywe zaniepokojenie. Dyskusjom nie było końca. Wreszcie rabin Potasznik zadecydował:... mają używać kryształu, a już wszystko będzie dobrze i z talmudem zgodnie...

Inna afera wybuchnęła znowu z inną kwestją, także jedzeniowo-żołądkową.

Dał o niej krótką notatkę „Robotnik":

„Dwaj kupcy: Lejzor Kaufman (Pańska 10) i Lejbuś Fajngezycht (Pańska 13) są zwolennikami cadyka z Góry Kalwarji. Wczoraj F. i K., spotkawszy się przed domem Złota 51, wszczęli między sobą dysputę na temat: „Czy cadyk je w nocy". K. utrzymywał, że tak jest, F. zaś był przeciwnego zdania. Na tem tle wynikła kłótnia, która doprowadziła do bójki. Zacietrzewieni przeciwnicy powyrywali sobie wzajemnie włosy z brody i pobili się pięściami. Widok walczących kupców wywołał zbiegowisko na ulicy."

Otóż o tych i tym podobnych zabawnych „jokach" ani „Expressiak" ani „Porranniak" nie puszczą nigdy pary z paszczy. A przecież żywot i działalność takiego rabina z Góry Kalwarji powinny nas wszystkich jednak interesować. Przecież to jest ważna figura, skora do niej zjeżdżają różne znakomitości, tak z Polski jak i ze świata, jak się o tem można przekonać z łamów „Naszego Przeglądu", gdzie niebacznie i niezgrabnie zamieszczono w wywiadzie z żoną cadyka taką informacyjkę:

„Rabinowa odnosi się z wielką nieufnością do przedstawicieli prasy. Przed niejakim czasem bawił tu przywódca Drugiej Międzynarodówki, b. minister Vandervelde i znany poeta Witlin — nie zdołali jednak uzyskać rozmowy z małżonką cadyka."

Vandervelde z Brukseli, szef i głowa widoma socjalistów europejskich, pielgrzymujący do cadyka z Góry Kalwarji i do tego jeszcze nieprzyjęty! to też *signum temporis* pełne humoru i wyrazistości...

Interesującemu się zaś, i też pielgrzymującemu do cadyka poecie naszemu Wittlinowi, oczywiście też wolnomyślicielowi, przytoczymy tu znowu dwa świeże przykłady i dowody na to, że znowu w chrześcijańskim klerze, jego obyczajowości, działalności i życiu można często znaleść: postępowość i nowoczesności...

Zacytujemy dwóch „świadków wiarogodnych", bo „Nasz Przegląd" i znów „Robotnika".

W pierwszym czytamy:

„Gazety angielskie donoszą, że niedawno w Nowej Zelandji całe plemię tubylców, Maorysów, postanowiło popełnić zbiorowe samobójstwo ze strachu przed bliskim końcem świata, który im zapowiedział ich wódz. Plemię to, liczące około 1.200 „obywateli", mieszka w 2 górskich wioskach. Rządzi niem wódz, który widocznie nie ma zbyt

mocnej głowy, co właśnie omal nie stało się przyczyną wielkiego nieszczęścia. Pewnej nocy wódz miał sen, który ogromnie go przeraził. Zobaczył we śnie zmarłego niedawno kapłana plemienia i usłyszał z jego ust okropną przepowiednię.

„W najbliższym czasie — obwieścił kapłan — nastąpi koniec świata".

Strasznie przerażony, wódz zwołał natychmiast na naradę „senat" plemienia i zakomunikował mu smutną wieść, którą otrzymał z zaświatów. Nikt — podobnie jak sam wódz — nie ośmielił się podać w wątpliwość „proroczego snu". Wszyscy odrazu uwierzyli, że jeżeli zmarły kapłan zapowiedział koniec świata, to — niema żadnej nadziei. Lada dzień, lada godzina świat zapadnie się w nicość.

Na pożegnanie z życiem postanowili urządzić wielką ucztę, po której wszyscy mieli dostać — na deser — truciznę, działającą wprost piorunująco. I prawdopodobnie doszłoby do niebywałego wspólnego samobójstwa 1.200 ludzi, ofiar ciemnoty i przesądów, gdyby nie szczęśliwy traf, że o tym masowym błędzie dowiedział się przypadkiem misjonarz, który przejeżdżał przez jedną z wspomnianych wiosek. Daremne były jednak jego usiłowania, aby podważyć w dzikich mózgach wiarę w proroczy sen wodza i odwieść oszalałych ze strachu Maorysów od okropnego zamiaru.

Wówczas misjonarz wpadł na sprytny pomysł. Skorzystał z tego, że miał ze sobą t. zw. latarnię czarnoksięską i gramofon. Dzięki temu udało mu się sfabrykować „ducha", który zjawił się w samą porę na ostatnie, przed śmiertelną ucztą, posiedzenie „senatu". „Duch" zakomunikował zebranym, że bogowie... postanowili — odłożyć koniec świata na czas nieokreślony."

Druga opowieść wzięta z „Robotnika", gdzie dano ją pod tytułem „Bohaterka w kornecie szarytki":

„Dzięki przytomności umysłu i ofiarności szarytki uniknął szpital w St. Johns Wood w Anglji nieszczęścia, któreby pociągnęło za sobą wielką ilość ofiar. Jej tylko należy zawdzięczać, że pełen chorych szpital nie stał się pastwą ognia. W wielkiej sali operacyjnej wzmiankowanego szpitala zabierano się właśnie do ciężkiej operacji. Liczne naczynia z eterem i innemi łatwopalnemi materjałami stały przygotowane, a wszędzie porozwieszane były sterylizowane prześcieradła i już młodzi asystenci wchodzili na salę, gdy jedna z szarytek upuściła naczynie z denaturatem, który rozlał się po całej podłodze. Po chwili od zapalonego rożka gazowego zapalił się denaturat i cała sala stanęła w płomieniach. Sprawczyni wybuchu, na której już suknia się paliła, podniosła krzyk i biegła w stronę naczyń z eterem. Powstała panika. Wszyscy rzucili się do ucieczki. Jedynie siostra Gilbert zachowała przytomność umysłu. Schwyciwszy kilka prześcieradeł, pobiegła ku palącej się siostrze, obaliła ją na ziemię i prześcieradłami zdusiła palące się na niej ubranie. Obaleniem płonącej siostry zapobiegła temu, że ta nie wpadła na naczynia z wybuchającym eterem. Wreszcie nadbiegła służba i gaśnicami stłumiła dopalający się denaturat. Dopiero po ugaszeniu pożaru chorzy w liczbie 150 dowiedzieli się o niebezpieczeństwie, które im groziło. Siostrze Gilbert szpital zawdzięcza egzystencję, a chorzy i personel — życie, w najlepszym razie uniknięcie ciężkiego kalectwa."

Tyle „Robotnik."

Jakież nowoczesnym i postępowym był ten misjonarz!

Jakaż dzicz ciemna te Potaszniki i cadyki, do których przyjeżdża Vandervelde (Lala Speyer)!

A jednak dla sanacyjnej prasy i prasowników cadyki są nadal *Tabu* i nie było wypadku, aby np. ten wymowny Rzymowski, dławiący się po nocach kością endecką (uwięzłą mu w gardle), raz choćby dla *decorum* i pozorum czepił się jakiegoś cadyka.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Krytyka literacka, zabiegająca o łaski Akademji Literatury, usiłuje w dalszym ciągu wyrabiać prof. Piniemu opinję zbrodniarza, który śmiał wyrządzić przykrość akademikowi Zenonowi Przesmyckiemu. Jakże to?—pytają ludzie — jedyną troską trzydziestu lat życia p. Z. Przesmyckiego było to, że społeczeństwo nie docenia Norwida, dlatego, że go nie zna. Wydać całego Norwida — oto marzenie. I stało się. Zrobił to Pini. Właśnie wtedy wytacza Przesmycki proces Piniemu, traktując go jak przestępcę. Możeby Akademja zastanowiła się nad logiką tego skandalu.

TREŚĆ: Sztuczne przedziały *R. Rybarskiego.* — Praworządność w Niemczech dzisiejszych *J Prusa.* — Sztadlan *F. K.* — Galicja *K. S. Frycza* — O „Lalce" Prusa *Wł. Jabłonowskiego.* — Z „Jasełek" *J. Kaweckiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Kolęda *A. Chojeckiego.* — Nauka i literatura („O teatrze przed stu laty" *J. G.* i t. d.) — Teatr *Z. W.* — Muzyka *W. N.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM